Nr. 48. Warszawa, dnia 29 (17) Listopada 1890 r. Rok X.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2**. k. **50**, rocznie rs. **10**

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.
Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

GERMANIZACYA SZKOŁY.

Warszawskij Dniewnik na podstawie *Sławianskich Izwiestij* podaje krótką historyę zniemczenia szkoły w Poznańskiem i Prusach zachodnich. Jakkolwiek pojedyncze rysy tego obrazu są znane, w połączeniu przedstawiają proces historyczny bardzo pouczający. Powtórzymy więc je za dziennikiem ruskim.

Rząd pruski zwrócił oddawna szczególną uwagę na sprawę oświaty w swoich dzielnicach polskich. Był to wynik jego dążności do połączenia z nią germanizacyi. W tym celu przed dwudziestu laty podjęto przekształcenie szkół polskich na niemieckie w Poznańskiem, Prusach zachodnich i górnym Szlązku. Podczas t. zw. „walki kulturalnej“ zrobiono pierwszy ważny krok, wprowadziwszy język niemiecki do szkół wiejskich. Polski pozostawiono tylko w czterech lub sześciu lekcyach tygodniowo oraz w wykładzie religii. Ale już w r. 1872 nadprezydent prowincyi poznańskiej wydał rozporządzenie, polecające używać niemczyzny do uczenia religii tam, gdzie dzieci są odpowiednio ku temu przygotowane. Na mocy tego okólnika inspektorowie okręgowi wprowadzili w wyższych klasach wielu szkół polskich język niemiecki do wykładu religii i tem się tłomaczy fakt, dlaczego uczniowie katoliccy uczyli się jej w jednych zakładach po niemiecku, a w innych po polsku. Zmarły arcybiskup Dinder zajął stanowisko polaków i chciał przywrócić lub utrzymać dla ich dzieci język ojczysty. Ale to stanowisko nie odpowiadało zamiarom rządu.

Przed sześcioma laty zarząd prowincyi poznańskiej postanowił wykonać rozkaz nadprezydenta 1872 r. i polecił, ażeby uczniom wszystkich szkół i klas zaczęto wykładać po niemiecku. Ale ówczesny stan polityczny Niemiec nie sprzyjał temu pokuszeniu i dlatego ono się nie udało. Protestem i skargami o gwałt polacy zdołali oddziałać na ministra oświaty, który zniósł to rozporządzenie po kilku zaledwie miesiącach próby. Ale wkrótce nastąpił zwrot przeciwny: germanizatorskie ustawy z roku 1886 przyniosły szereg uciążliwych przepisów dla szkoły wiejskiej, której nadały charakter niemiecki. Nareszcie reskryptem ministra z 1888 r. wykłady polskie we wszystkich wyższych i niższych szkołach ludowych w Poznańskiem, Prusach zachodnich i okręgu Opolskim zostały zniesione.

Był to — według *Izwiestij* — ostateczny cios dla mowy polskiej w sferze oświaty. Wkrótce bowiem reskrypt ów rozszerzono na wszystkie zakłady naukowe w Poznańskiem. Obecnie mowa ta pozostała tylko jako przedmiot nauki gimnazyalnej, obowiązującej w skromnym, elementarnym zakresie uczniów obu narodowości.

Tymi śmiałymi środkami szkoła polska w Prusach została doszczętnie zgermanizowaną, gdyż uczniowie muszą myśleć, pisać i mówić po niemiecku, zwłaszcza że nieodpowiednich założeniu rządowemu nauczycieli przeniesiono do prowincyi niemieckich, a na ich miejsce sprowadzono około 400 germanizatorów. Najlepszym zaś dowodem osiągnięcia pożądanego rezultatu jest zaprzestanie tych przenosin. Dziś są one już niepotrzebne.

Ponieważ wszakże ostatecznym celem rządu nie było zniemczenie szkoły, jako instytucyi, ale jako skutecznego narzędzia germanizacyi kraju, nietylko więc zmieniono w niej sposób wykładu i siły nauczycielskie, ale nadto spotęgowano jej wpływ zewnętrzny: założono ją wszędzie, w każdej niemal wiosce, obowiązkiem uczęszczania spędzono dzieci, tak, że dziś w dzielnicach polskich procent nieumiejących pisać i czytać jest niezmiernie mały. Corocznie nauczyciele z czterech okręgów zbierają się na naradę co do dalszego postępowania. „Przy tej gorliwości i tem dążeniu — powiadają *Izwiestija* — wkrótce szkoła ludowa dojdzie do tego, że w niczem nie będzie ustępowała prowincyom staropruskim, a pod niejednym względem je przewyższy.“ Chociaż ukończenie dzieła wymaga jeszcze czasu, jednakże gazeta ruska przyznaje, że już dziś widocznym jest „smutny postęp zniemczenia polaków w Prusach.“ O jakimkolwiek zwrocie lub powrocie do dawnych stosunków nie może być mowy, zwłaszcza dopóki na czele ministeryum oświaty stoi energiczny i wytrwały germanizator Gossler. Spodziewano się, że po ustąpieniu Bismarka sprawdzi się wyrażenie Schillera: „gdy książę upadnie, upada i płaszcz jego,“ była to jednak nadzieja złudna. I kto wie nawet, czy Gossler nie jest głównie utrzymywany dla przeprowadzenia do końca germanizacyi w Poznańskiem i Prusach zachodnich. On ją głównie popchnął naprzód, on jej obmyślił najskuteczniejsze środki, on udaremnił wszelkie starania dotkniętych jego polityką i ich opiekunów, on podciął korzenie rozmaitym „kwestyom“ językowym na gruncie wychowania publicznego — on więc zostać musi przy ostatecznym kierunku. Ks. Stablewski i p. Kościelski byli na obiedzie u kanclerza Capriviego, gdzie znajdował się również cesarz niemiecki, ktory z nimi rozmawiał, ale chyba już dziś nikt z takich zaproszeń i rozmów nie wywodzi wróżb o zmianie systemu.

Z AUSTRYI.

Walka państwa z Kościołem w parlamencie węgierskim. — Magnaci węgierscy dziś a dawniej, — Hrabia M. Esterhazy. — Zwycięztwo stronnictwa młodo-słowiańskiego w sejmie kraińskim i zachowanie się kleru słoweńskiego.

Kiedy po ustąpieniu Tiszy hr. Szapary objął ster wewnętrznej polityki węgierskiej, wiedziano wprawdzie, że gabinet jego opiera się na większości liberalnej, lecz obawiano się, że liberalizm nowego rządu nie wytrzyma ataków reakcyjnych. Tymczasem zaraz przy pierwszej dyskusyi budżetowej

nadarzyła się sposobność do wypróbowania dzielności nowego ministeryum, a z próby tej wyszedł gabinet Szaparego zwycięzko. Czytelnicy *Prawdy* znają już sprawę nielegalnych chrztów, dokonywanych w Węgrzech przez duchowieństwo katolickie. Hr. Csaky, obecny minister wyznań i oświecenia, wydał edykt przypominający duchowieństwu ustawę z r. 1868, według której synowie pochodzący z małżeństw mieszanych wychowanymi być mają w religii ojców, córki zaś w wyznaniu matek. Podczas gdy biskupi przez lat dwadzieścia ustawy tej nie zaczepiali i do dziś dnia urzędownie pozostają z nią w zgodzie, niższe duchowieństwo w ostatnich czasach nietylko ją pomijało, zapisując do ksiąg metrykalnych dzieci obu płci, lecz rozpoczęło szeroką agitacyę przeciw rozporządzeniu ministra, a pośrednio przeciw samej ustawie. Po której stronie słuszność, łatwo rozstrzygnie poczucie sprawiedliwości każdego człowieka nieuprzedzonego; Kościół katolicki żąda prerogatywy, którą przyznać by mu można tylko ze szkodą wyznania protestanckiego. Lecz w gruncie rzeczy sprawa ta nie jest tak doniosłą dla katolicyzmu, jakby sądzić można z miary jego zabiegów i rozgłosu, jaki jej nadał. Zdaje się raczej, że jest to tylko sposobność do rozpoczęcia walki z liberalizmem, do wskrzeszenia minionej potęgi kół ultramontańskich drogą podżegania mas. Niższe duchowieństwo węgierskie widząc, z jakiem powodzeniem w Austryi odbywa się agitacya klerykalna, pozazdrościło kolegom przedlitawskim zwiększonego wpływu. Episkopat węgierski, jak wiadomo, niezmiernie bogaty i wpływowy, niezbyt zadowolony jest z podjęcia tej walki, która mu tylko przysparza kłopotów, a która, jakeśmy wspomnieli, dla Kościoła wielkiej doniosłości nie posiada; więc wprawdzie zsolidaryzował się z postępowaniem niższego kleru, lecz dotychczas dość chłodno się zachowuje. Kiedy mu zatelegrafowano, iż zamiar poruszenia tej sprawy na pierwszem wielkiem zgromadzeniu nie udał się, prymas odpowiedział krótko: szkoda. Wobec tego niższe duchowieństwo nie kryje się ze swem niezadowoleniem, owszem, publicznie wzywa episkopat do energiczniejszego wystąpienia. Nie bez racyi więc hr. Csaky w przemowie swej zajścia te nazwał wewnętrzną rewolucyą kościelną.

Opozycya użyła dyskusyi budżetowej, aby zmusić rząd do otwartego wypowiedzenia się. Tymczasem już w przeddzień hr. Szapary w klubie liberalnym oświadczył niedwuznacznie, jakie stanowisko zająć zamyśla, opierając się bezwątpienia na uchwałach narady ministrów w zamku królewskim. Rząd uważa ustawę z r. 1868 jako zupełnie słuszną, potrzeby rewizyi jej nie uznaje, owszem z całą energią przeprowadzać ją zamyśla. Klub liberalny, upatrując w tej kwestyi doniosłą stronę polityczną, zsolidaryzował się z rządem i w ten sposób ministeryum, zanim wystąpiło w parlamencie, miało zapewnione poparcie większości. To też przemowy hr. Szaparego i hr. Csaky'ego odznaczały się niezwykłą ciętością i śmiałością. Kiedy Daniel Iranyi, jak co roku, rozpoczął dyskusyę budżetową wnioskiem określenia swobody wyznaniowej, poruszając przytem sprawę edyktu hr. Csaky'ego, Szapary w odpowiedzi zaznaczył, że gdyby niesnaski i nieporządki wynikające z oporu duchowieństwa przeciw odnośnemu edyktowi nie ustały, wówczas rząd pomyśli o usunięciu ich radykalnem drogą prawodawczą; prowadzenie ksiąg metrykalnych powierzone zostanie urzędnikom cywilnym, państwowym. Jest to groźba tem skuteczniejsza, ile że w takim razie dochody duchowieństwa uszczupliłyby się dotkliwie.

Z większą jeszcze stanowczością wystąpił hr. Csaky. Przypomniał on, że kiedy pojawiło się jego rozporządzenie, biskupi węgierscy oświadczyli na konferencyi umyślnie zwołanej, że ono z żadnym dogmatem w sprzeczności nie pozostaje i że zgodzić się nań można. Zresztą cokolwiek by sądził i postanowił Kościół, nie naruszyłoby to powagi państwa, ani prawomocności edyktu ministra odpowiedzialnego; ustawodawstwo bowiem jest najwyższem i ostatniem forum, rozstrzygającem o takich kwestyach.

W niewielu chyba krajach członkowie wyższej arystokracyi tak odważnie stanęliby na czele obozu liberalnego i w ten sposób prowadziliby walkę z Kościołem. A i w Węgrzech pierwsze to pokolenie magnatów, które tak przemawia. Zmarły niedawno M. Esterhazy był arystokratą całkiem innego pokroju. Wiadomo, iż niegdyś kierował całą zewnętrzną i wewnętrzną polityką Austro-Węgier. Zanim wstąpił do gabinetu Szmerlinga, był posłem u tronu papieskiego, a całe jego postępowanie późniejsze dowiodło, jak ścisłą zawiązał przyjaźń w Rzymie z kołami klerykalnemi. W gabinecie Szmerlinga odegrał on poniekąd rolę Wallenroda; miał zamiar obalić go wraz z systemem jego, co też w zupełności wykonał. Jego to dziełem było utworzenie owego gabinetu hrabiowskiego, który zawiesił konstytucyę i doprowadził Austryę do klęsk pruskich. Hr. Esterhazy był wówczas właściwym kierownikiem polityki austryackiej, mimo iż hr. Mennsdorf-Pouilly dzierżył tekę spraw zewnętrznych. Posiadał on pełne zaufanie cesarza, wybierał posłów, a z otoczenia swego wykluczył ludzi samoistnie myślących. Zdradził kilkakrotnie zaufanie monarchy, interes papieża bowiem był mu zawsze droższym, aniżeli interes Austryi.

Dziś Kościół coraz mniej święci tryumfów podobnych. To, co się obecnie odgrywa w dyecezyi biskupa Strossmayera, niemile budzić musi zdumienie Watykanu. Wiadomo, że w obozie słowieńskim odbył się podobny proces polityczny w Czechach: „konserwatyści, chętni do układów z niemcami i z rządem, pozbawieni zostali przewagi przez stronnictwo młodych, które wypisało na sztandarze swym bezwzględną walkę z niemcami w obronie narodowości własnej. Stronnictwo to, poczuwszy siłę, zrzuciło do reszty zasłonę i głosi obecnie, że połączenie Krainy i całego nadbrzeża z obszarami słowieńskimi Styryi i Karyntyi bynajmniej nie jest najdalej idącym jego programem. Przyznaje się otwarcie do programu panslawistycznego, a temsamem podkopuje stanowisko zdobyte dziś wobec rządu. W Wiedniu zdecydowano się bowiem do znacznych dlatego stronnictwa ustępstw i wyznaczono jako namiestnika barona Winklera, który otwarcie popierał dążenia słowieńskie. Lecz liberalny ten namiestnik zbyt jeszcze był powolnym dla niecierpliwych młodo-słowieńców; to też onegdaj w sejmie Krasińskim zgotowali mu klęskę, która zachwiać może jego stanowisko. Najciekawszem zaś jest to, że młodo-słowieńcy zwycięztwo swe zawdzięczają poparciu klerykałów, którzy opuścili konserwatystów i połączyli się z narodowcami radykalnymi. Jeszcze przed kilku laty biskupi w swych listach pasterskich młodo-słowieńców obwiniali o zdradę stanu. Dziś młode pokolenie kleru zajęło stanowisko wybitniejsze, a dla pokolenia tego względy narodowościowe przeważają nad interesem Kościoła. Gotuje się ono do dalszej walki z uczuciem tryumfu, wie bowiem, że kler jego przeważny wywiera wpływ na lud i niemal całkowicie rozstrzyga o wyborach. W każdym razie będzie to walka trudna, gdyż przyznawszy

---

2)

OKSANA

SZKIC SIELANKOWY,

napisał

Włodzimierz Wysocki.

IV.

Taką drogą dopłynąłem
Do samotnej chatki małej,
Która stoi tuż na brzegu,
Przytuliwszy się do skały.
Nęcą, wabią mię, mrugając,
Dwa okienka w białej ścianie,
Zachodzące słońce właśnie
Swe promienie rzuca na nie.
Po nad strzechą sosen para
Roztoczyła swe korony,
Obok krzaki leszczynowe,
Grab wysmukły, młode klony,
Ale niema ni podwórka,
Ani jakiej bądź zagrody,
Tylko czółno przewrócone,
Wydobyte na pół z wody
I rozeschła dzieża stara
Stoi tuż przy progu chatki;
Nad oknami — pod okopem
Suszą się dwie białe szmatki,
A na piasku żółtym leży
Para saków i więcierzy.

Przy tem czółnie, co kadłubem
Swym wypięło się do góry,
Siedzi człowiek i zapycha
Smolne kłaki w jego dziury.
Twarz spalona, oliwkowa
Lśniąca niby pod pokostem,
Okolona skołtunionym
Siwiejącym już zarostem;
A na głowie włos ciemniejszy
Zakrył czoło taką grzywą,
Że z pod niego ledwie widać
Dwoje ócz patrzących żywo.
Na nim tylko spodnie zgrzebne,
Zasmolone, z wielką łatą
I koszula, z po za której
Widać ciemną pierś kosmatą.
Spodnie w górę zakasane
Obnażyły bose nogi
I kosmate łydki suche
Oplecione w żył batogi;
Postać cała ciemna, zwiędła,
Jak u tych, co walczą z nędzą,
Wciąż na słońcu, wietrze, słocie
Napółnagie członki wędzą.
Gdym go witał: „Sława Bohu!“

Nie poruszył nawet głową,
Tylko spojrzał z pod swej grzywy
Jakoś chmurnie i surowo.
I znów schylił się nad łodzią,
Coś w niej dłubiąc czarną ręką.
Ja tymczasem ku wybrzeżu
Skierowałem swe czółenko.
—Czy nie macie—pytam—mleka?
Co należy, to zapłacę...
Rybak znowu spojrzał na mnie
I przerwawszy swoją pracę,
Zwrócił nieco w stronę chaty
Głowę mocno rozczochraną
I matowym, głuchym głosem
Począł wołać: hej! Oksano!..

Drzwi skrzypnęły, a w ich ramie
Na tle ciemnem małych sionek,
Jak obrazek najpiękniejszy,
Jak wcielenie młodych mrzonek,
Nimfa leśna, czy Undina
Ukazała się dziewczyna!
Wprawdzie nic w niej niezwykłego:
Była w stroju prostej chłopki,
Nawet bosa... przytem miała

się do idei wszechsłowiańskiej, młodo-słowieńcy zgotowali sobie nieubłaganego przeciwnika w rządzie.

S.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Po długich męczarniach zmarł nareszcie Wilhelm III, król holenderski, przeżywszy lat 73. Pozostawia on z drugiej żony (z pierwszej dwu synów utracił) dziesięcioletnią córkę, jedyną następczynię tronu, która dojrzewać będzie pod opieką matki, jako regentki. Tron książęcy Luksemburga przejdzie w spadku na Adolfa Nassauskiego, który już go objął w posiadanie. Nieboszczyk był ostatnim męzkim potomkiem domu orańsko-nassauskiego, który przez trzy stulecia dostarczał Holandyi królów. Zaprzysiągłszy świeżo przed wstąpieniem jego na tron (1848) ogłoszoną konstytucyę, dochował swych ślubów wiernie i chociaż w duszy nie sympatyzował z liberałami, pozwolił im długo rządzić. Panowanie jego nie obfitowało w ważne wypadki, ani w wojny. Zniechęciwszy się szybko do żony, księżny Zofii Wirtemberskiej, przebywał głównie za granicą, bacząc tylko, ażeby maszyna konstytucyjna działała prawidłowo.

Drobny i w istocie swej marny fakt, może sprowadzić ważną zmianę w stosunkach angielsko-irlandzkich. Po chybionej grze w podrabiane listy, którą ich fałszerz Pigott zdradził, zaczęto w Anglii rozgrzebywać prywatne życie Panella i znaleziono w niem panią O'Shea, mężatkę. Jej małżonek, chociaż długo patrzył pobłażliwie na niewierność swej żony, a nawet za swą filozoficzną obojętność brał pieniądze, nagle uczuł zgrozę i złożył swe mężowskie rogi przed sądem. Orzeczono rozwód z jej winy i jej kochanka. Naturalnie gazety angielskie natychmiast postawiły pytanie, czy Parnell po takiem „zniesławieniu się“ może być dalej przywódcą irlandczyków? Ci odpowiedzieli, że może i będzie, gdyż sprawy osobiste Parnella ich nie obchodzą. Wtedy wytoczyła się armata największego kalibru, Gladstone, który oświadczył, że w takim razie złoży przewodnictwo partyi liberalnej. Jak to głupstwo może z rozumem żyć zgodnie w jednej głowie!

Mowa tronowa angielska przy otwarciu parlamentu nie wypowiedziała nic nowego i ciekawego. Usnuto ją ze starych, zużytych i wypłowiałych frazesów. Większą wagę będą miały obrady Izby, zwłaszcza gdy ona podniesie sprawę znowu skompromitowanej swej marynarki, która utraciła jeden statek zbrojny „Serpent.“

Gwiazda Crispiego jeszcze nie nachyliła się ku zachodowi, przeciwnie, posunęła się wyżej: wybory we Włoszech do Izby poselskiej dały mu większość znaczniejszą, niż posiadał, i zakończyły się ciężką porażką opozycyi. Zdaje się, że z nową załogą minister zwróci swój ster mocno w kierunku konserwatywnym i zboczy bardziej z drogi, którą dawniej płynął. Pomimo jednak tego zwycięstwa nie może on jeszcze krzyknąć: hop! bo dopiero stanął nad rowem, ale jeszcze go nie przeskoczył. Tym rowem jest dla niego plan poprawy stosunków ekonomicznych kraju. Ułożyć go ze słów i szczodrych obietnic było zadaniem łatwem, ale wykonać bez naruszenia warunków trójprzymierza, zobowiązującego do podpierania „zbrojnego pokoju,“ będzie bardzo trudnem. Włochy są krajem niedostatku i nędzy, żaden więc czarodziej nie zdoła zrównoważyć dobrobytu z kosztami militaryzmu. Albo jeden, albo drugi — a Crispi powiada, że będą oba. Zobaczymy.

W sejmie pruskim rozpoczęła się walna utarczka stronnictw na gruncie reformy podatkowej. Nowy minister skarbu Miquel broni swoich projektów, dążących do głębszego zapuszczenia pompy w kapitał ruchomy i wydobycia zeń podatku dochodowego. Znajdą się tacy, którzy „krzykną: nie pozwalam! i ucieknę — lub nie ucieknę — na Pragę,“ niewątpliwie jednak skarb państwa nowe źródła zasiłków sobie otworzy. Ale co ważniejsza, gazety przebąkują, że rząd niemiecki chowa w zanadrzu jeszcze inne, ważniejsze niespodzianki, które sięgną do kieszeni narodu. Naturalnie będą to nowe ofiary na ołtarz Marsa, który w Niemczech nie jest nigdy nasycony.

Policya wyjaśniła, że zabójcą gen. Seliwerstowa jest niejaki Padlewski, który uciekł do Brukseli, a następnie do Anglii. Z jakich pobudek działał, czy zdołał umknąć dalej przed pogonią — nie wiadomo.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY PETERSBURSKIE.

20 listopada.

Zima. — Artyści. — Spermina. — Ospa — Dr. Koch. — Fabrykaty. — Sprawa redaktora Notowicza. — Gazeta *Minuta.*

Śnieg wypadł, mgła znikła i po kilku tygodniach nieobecności zawitało słońce. Smętne lica bojowników o chleb i sukmanę, ubarwione mrozem i promykami, wyglądają raźniej. Pesymistów ubyło 20%, o samobójcach — ani słuchu: taki jest wynik dobrej pogody. Kto ma grosze, gwoli uciesze, najmuje trójkę i pędzi za miasto.

Z czasem łacniej będzie zapełnić zbywające od snu i jadła chwile: troskliwi dobroczyńcy ludzkości zebrali już pieniądze za abonamenty na Patti, Makiniego, Sembrichową, Cotoniego itp. głośnych artystów.

W Akademii sztuk pięknych niegłośni artyści na konkursie dorocznym otrzymali dużych srebrnych medali zaledwie kilka — jest to żniwo, w porównaniu z poprzedniemi czasy, gdy otrzymano ich dziesiątkami, nader niepokaźne. Może mniej troskliwie pracowano, może sędziowie stali się surowszymi — trudno orzec. Dyletantowi wydaje się, że prace nie są gorsze.

Doktor Pohl w sprawie sperminy Brown Sequarda, nie mogąc znaleźć u sądu, w zatargu z Frenklem, żądanej sprawiedliwości, zdaje się na sąd honorowy medyków. Ze swej strony zaprosił na sędziów znanych doktorów: profesora Tarchanowa i prezesa petersburskiego Towarzystwa lekarskiego Weliaminowa. Jużci najprzyjemniej będzie, jeżeli szanowni sędziowie odkryją, że obaj chemicy nie winni, że wszystko to było omyłką, że wielka ilość soli potrzebną jest dla zakonserwowania sperminy. Bo czyż może być coś bardziej tragicznego, nad widok uczonych bawiących się w fabrykaty?

Wolno-Ekonomiczne Towarzystwo walczy z ospą, która korzystając z mglistej jesieni, rozgościła się w stolicy na dobre... Zresztą tymczasem niema zbyt groźnego charakteru, jednak domaga się już środków zapobiegawczych. Owóż wspomniane towarzystwo na swój własny koszt szczepi ospę każdemu, kto się zgłosi, nie pytając nikogo o wiek, środki, jednem słowem jest zupełnym kosmopolitą.

Obłocone nieco stopki.
Lecz co więcej—w czem niejeden
Słusznie mej rusałce zgani —
Że koszulka niezbyt cienka,
Niezbyt świeża była na niej,
A najgorsza: że nie nosząc
Rękawiczek, parasolki —
Opaliła twarz i ręce
Ciemne niby u kreolki.

Jednak — wierzcie, miłe panie,
Mimo te widoczne braki
Byłem olśnion — taka jasność
Biła od niej — urok taki!
Dziś po latach długich wielu
Ani wiem, ni wytłomaczę,
Jakim czarem mię zaklęło
Proste dziewczę to wieśniacze.

Czy urzekła mię powabem
Swych wdzięków i urody,
Czy też inną mocą jaką?
Ot, poprostu, byłem młody!..
Byłem młody... Bracia młodzi!
Póki młodzi — wy nie wiecie,
Co to młodość — aż poznacie
Kiedy się zestarzejecie!
Kiedy mrozem i zawieją
Kwiecie waszych serc się zwarzy,
Kiedy zmysły wam stępieją,
Kiedy ułud pierzchnie tęcza.
Zgaśnie blask, spłowieją barwy,
A natomiast rzeczywistość
Stanie naga i bez larwy;
Kiedy łańcuch rozczarowań
Wszelki poryw ducha spęta —
Wtedy z żalem wy poznacie,
Czem jest młodość wielka, święta,
Młodość wolna, jasna, dzielna,
Nieskalana jak blask słońca,
Nieobłudna, ślepo-ufna,
Wszechmiłością promieniąca!
Och! poznacie, bracia młodzi,
Czem jest wasza młodość złota,
Gdy przeminie — a zostanie
Żal serdeczny i tęsknota...

VI.

Od tej chwili niemal codzień
Zapuszczałem się tam rzeką,
Tak mię ustroń ta nęciła,
Tak mi smakowało mleko!
Swe wycieczki sam przed sobą
Tłomaczyłem tym pozorem,
Że zlecenie miałem „z góry“
Poznać się z sąsiednim borem,
Który łączy się z lasami
Tryhór, Denesz, Trojanowa
I gdzie miała niezadługo
Młódź gromadzić się spiskowa.
Studjowałem tedy pilnie
Leśne drogi i drożyny,
Które—dziwna—z każdej strony
Zawsze wiodły do dziewczyny.
I widziałem, że Oksana,
Dawniej jakaś niby dzika,
Coraz bardziej do zaczęstych
Tych odwiedzin już przywyka;
Coraz wita mię przyjaźniej,
Uśmiechnie się i odpowie,
A tak słodko spojrzy czasem,
Że aż mroczy mi się w głowie!

Tylko rybak wciąż ponury
Nigdy nie obdarzy słowem,
A choć czasem doń przysiądę,
Zbywa mię ni tem, ni owem
I z pod gęstych brwi krzaczastych
Tak spogląda podejrzliwie
I tak jakoś nieprzyjaźnie,
Że i boję się i dziwię.
Więc ażeby z niechętnemi
Nie spotykać się oczyma,
Bywam tam najczęściej wtedy,

Imię doktora Kocha daje temat do pogawędek nie samym tylko medykom. Nawet w przerwach robra nieraz można słyszeć:

— Powiadają, że „Lupus“ zupełnie się ulecza... mają nadzieję i dyfteryt leczyć...

— A tak, mości dobrodzieju... Dwa bez atu!..

Przeciwnik drgnął.

— Wyglądacie tak — zauważa szyderczo głosiciel gry — że powinnibyście pojechać do Kocha jak najprędzej. Nim się kawerny wytworzyły w płucach, łatwiej odzyskać zdrowie.

— Pass... mruczy zagadnięty ponuro.

Wieść głosi, że się znalazł inny Koch, co ma zamiar uleczyć stolicę od wszelkich fabrykatów. Na samę myśl, że nastanie czas zdrowych pokarmów, człowiek czuje się rzeźwiej. Chleb, masło, mleko, mąkę, herbatę, kawę — nie mówimy już o piwie, winie i sperminach — wszystko to zabiegliwi ludzie przetworzyli na przedmioty albo licha warte — niepożywne, albo trujące. Choroby żołądka, a z niemi niedokrwistość, spazmy, mdłości, katary, stały się lichem złośliwszem od ospy, a może i od suchot. I wszystko to gwoli zarobkowi kilkusetek starannych przemysłowców! Ma się nareszcie położyć temu kres.

W przeszłym roku w gazecie *Nowosti* ukazało się kilka artykułów, karcących zarząd banku tulskiego, za działalność niezgodną z ustawą. Członkowie Zarządu powołali redaktora gazety, p. Notowicza, do odpowiedzialności za oszczerstwo. Sąd okręgowy skazał go na cztery miesiące wieży. P. Notowicz przeniósł sprawę do Izby sądowej i tutaj 19 listopada obrońca redaktora, p. Spasowicz, prosił sąd o wyjaśnienie, czy skargę wniósł zarząd banku, czy też prywatne osoby: Pp. Czerkasow, Masłowski, Maslennikow i inni. Izba zdecydowała uznać owych panów za przedstawicieli banku; natenczas owi członkowie oświadczyli, że nie mając pełnomocnictwa, nie mogą podtrzymywać wniosku. Skutkiem tego sprawę sądzono tak, jak gdyby powodowie nie byli obecnymi.

P. Notowicza uniewinniono... Obecna w sali publiczność powitała wyrok rzęsistymi oklaskami.

Czasopismo *Minuta* zmienia nazwę, a zapewne i barwę. Odtąd będzie nosiła tytuł: *Russkaja Żyzń* (Ruskie życie).

Chciałbym zakończyć moje wieści czemś wesołem, jasnem jak promyki skrzące się na śniegu, lecz promyki już znikły, a śnieg pod stopami ludzkiemi zbrukał się.

N. B.

KAROL MARX
(w życiu prywatnem).

Paweł Lafargue, zięć K. Marxa i jeden z najwybitniejszych publicystów obozu społeczno-demokratycznego Francyi, skreślił świeżo w pewnym tygodniku niemieckim sylwetkę autora *Kapitału*. Wspomnienie to przedstawia Marxa w życiu prywatnem i zawiera ciekawe szczegóły.

Lafargue poznał go, mając lat 24. Autor *Kapitału* pracował wtedy nad wykończeniem pierwszego tomu swego dzieła. Cierpiący już obawiał się, że nie doprowadzi do końca zamierzonej pracy, chętnie więc otaczał się młodzieżą, mawiając, że należy mu wyrobić sobie następców. Zresztą był to nie tylko uczony, ale zarazem i jeden z najwybitniejszych działaczów praktyczno-społecznych. Twierdził on, że wiedzę należy pielęgnować starannie i nie bacząc na to, do jakich możliwych wyników ona doprowadzi, lecz przytem sądził, że uczony, nigdy nie powinien zagrzebywać się w swojej pracowni i odsuwać od życia publicznego, jeśli nie chce poniżyć swej ludzkiej godności. „Wiedza nie powinna służyć tylko za samolubną rozrywkę. Ci szczęśliwcy, którzy znaleźli się w możności uprawiania nauki, powinni pierwsi pośpieszyć z oddaniem swej wiedzy na potrzeby ludzkości.“ Chociaż głęboko odczuwał niedolę tłumów pracujących, doszedł do swoich przekonań nie pod wpływem jakiegoś uczucia sentymentalnego, ale wskutek studyów nad historyą i ekonomią polityczną. Utrzymywał nawet, że każdy umysł bezstronny, byleby interesy prywatne i uprzedzenia klasowe nie opłatały go swoją pajęczyną, musiałby dojść do tych samych wyników. Zresztą prace, które ukazały się jako owoc tych poszukiwań, były pisane już ze stanowczym zamiarem dania naukowej podstawy rozwijającym się dążnościom społecznym i poprowadzenia ich do zwycięztwa. Jako działacz praktyczny, autor *Kapitału* nie ograniczył się do swego kraju rodzimego. „Jestem obywatelem świata — mówił — i działam w tem miejscu, gdzie się znajduję.“ Rzeczywiście, postępował zgodnie z przekonaniami.

Lafargue zatrzymuje się dłużej nad pracownią Marxa. Pokój to historycznej sławy, który oglądał całe tłumy ludzi. Nieporządek panował w papierach, lecz tylko pozorny. Właściciel wiedział, gdzie leży każda notatka i najmniejszy świstek. Na półkach książki in folio i w ósemce, broszury drobne i papiery były pomieszane bez względu na format, lecz według treści. Wszystko świadczyło, że nie leżą one u niego jako przedmioty zabawki, lecz są narzędziami pracy. „Książki są moimi niewolnikami i winny służyć, jak im każę!“ Nadużywał też ich w najgorszy sposób: zaginał rogi, podkreślał i zakreślał, robił dopiski. Sposób podkreślania pozwalał mu w każdej chwili znaleźć pożądane miejsce u autora. Zresztą od czasu do czasu przeglądał swoje notatki i podkreślone miejsca, aby je wskrzesić w pamięci, którą i bez tego służyła mu przewybornie i którą ćwiczył od młodości według rady Hegla, ucząc się utworów poetyckich w nieznanym języku. Heinego i Goethego, których często przytaczał w rozmowie, umiał na pamięć. Wciąż czytał poetów z najrozmaitszych narodowości, Eschylosa zaś corocznie w greckim oryginale; na równi z Shakespearem uważał on go za najpotężniejszego geniusza sztuki dramatycznej. Podobnie studyował z całem przejęciem Shakespeare'a i znał najmniejsze postacie jego utworów. W rodzinie uprawiano nawet istotny kult dramaturga angielskiego i umiano go prawie całego na pamięć. Z innych poetów cenił on wysoko Burnsa i Dantego. Zmęczony pracą, chodził po pokoju, i na dywanie od drzwi do okna widać było wydeptaną ścieżkę. Niekiedy rzucał się na sofę i brał się do czytania powieści, a czytał odrazu dwie lub trzy, zmieniając kolejno. Równie jak Darwin lubił niezmiernie powieści, zwłaszcza autorów przeszłego stulecia. *Tom Jones* Fieldinga był jego książką ulubioną. Z nowszych autorów chętnie czytał Pawła Kocka, Karola Levera, Al. Dumasa (ojca) i Waltera Scotta. Szczególnie ukochał humorystykę i pomysły fantastyczne. Wyżej niż innych stawiał Cervantesa i Balzaca. Don Kiszota uważał za epopeję wymierającego rycerstwa, którego zalety i cnoty stawały się wśród powstającego świata mieszczańskiego słabostkami i śmiesznością. O *Komedyi ludzkiej* Balzaca zamierzał pisać szkic wyczerpujący, kiedy ukończy swoją pracę ekonomiczną. Powieściopisarz francuski jego zdaniem był nie tylko przewybornym

---

Kiedy chłopa w domu niema.
Wtedy śmielszy do zalotów
(Zawsze mimo to zdaleka)
Tem sentyment mój wyrażał,
Żem wypijał więcej mleka
I że byłem rozmówniejszy,
Dowcipkując z werwą całą
Z czego, pełne zaufania,
Dziewczę się serdecznie śmiało.

VII.

Po dniach kilku, przy rozmowie
Nagle przyszła mi chęć pusta:
Żem się porwał i Oksanę
Pocałował w same usta.
Snać ten całus obcesowy
Całkiem spadł niespodziewanie,
Takie było w jej twarzyczce
I zdumienie i zmieszanie!
Patrząc na mnie napół z trwogą,
Swe usteczka rozchyliła
I w tem niemem osłupieniu,
Boże! taka była miła,
Taka śliczna była ona,
Że porwany jakimś szałem,
Znów w te usta rozchylone
Raz po razie całowałem,
Aż wyrwawszy się z uścisków,
Jak sarenka — w oka mgnieniu
Odskoczyła — i ujrzałem
Ją stojącą na kamieniu,
Co w pobliżu stał najwyższy
Z pośród swoich towarzyszy.
Jak niekiedy ptak płochliwy
Przed przechodniem frunie z trawy
Na sąsiednią gałąź drzewa
I spogląda w dół, ciekawy,
Z tej placówki swej wysokiej
Napastnika śledząc kroki.
Na tym swoim piedestale
Sania stała jak posąg;
Wiatr powiewał jej koszulką
I końcami barwnych wstążek.
W oczach miała pełno strachu,
Twarz to blada, to ognista,
A na łonie jej gwałtownie
Kołysały się *namista.* *)
Wyciągnąłem ku niej ręce
I w namiętnem obłąkaniu
Zawołałem błagająco:
— Saniu moja! droga Saniu!
Czyż się lękasz, że ode mnie
Tak uciekasz jak od zbója?
Czym ci wstrętny?.. Ja tak kocham,
Tak cię kocham, Saniu moja!
O, zejdź do mnie — a przysięgam,
Że nic złego ci nie zrobię,
Raz cię jeszcze pocałuję,
Tylko raz... i pójdę sobie...
Ale Sania była głucha;
Na wysokim stojąc głazie,
Jak głaz niema, ciągłą trwogę
Miała w twarzy swej wyrazie
I patrzyła na mnie jakoś
Napół z żalem, napół czule
Przytrzymując odchyloną
Wiatrem z piersi swych koszulę.
Wtem plusk wody niewyraźny
Posłyszałem... ktoś nadchodzi —
Odwróciłem się ku rzece,
— To nadpływa rybak w łodzi,
Więc stropiony, odskoczyłem
Od dziewczęcia do swej łódki
I uciekłem.
Takie były
Pierwszych mych zalotów skutki.

(D. c. n.)

*) Paciorki.

historykiem swojego czasu, ale twórcą prorockich postaci, które za Ludwika Filipa znajdowały się jeszcze w stanie zarodkowym i dojrzały w zupełności po śmierci Balzaca, za Napoleona III. Zresztą prócz poezyi i powieści Marx wypoczywał jeszcze w inny sposób: brał się do studyów nad matematyką, i to zajęcie dawało mu ucieczkę w ciężkich chwilach życia. Podczas ostatniej choroby żony rzucił wszelką samodzielną pracę umysłową i naukową; cierpienia chorej odczuwał w silnym stopniu, jedynie matematyka pozostała dlań źródłem wypoczynku i zapomnienia. W tym okresie napisał nawet rzecz o rachunku, opartym na wielkościach nieskończenie małych, a wartość tej rozprawy jest podobno nader znaczną, jak osądzili matematycy, którzy ją czytali. Zresztą wyjdzie ona w zbiorowem wydaniu prac zmarłego. Marx czytał we wszystkich językach europejskich i pisał w trzech: po francusku, angielsku i niemiecku. Mawiał, że „obca mowa jest to oręż w walce życiowej." Posiadał zaś znaczne zdolności w tej mierze. Już mając lat 50, zaczął się uczyć języka po rosyjsku, a chociaż mowa ta nie była w bliższem pokrewieństwie z jakimkolwiek ze znanych mu przedtem języków, wyuczył się jej w pół roku i zabrał się do czytania autorów ruskich, z których szczególniej cenił Puszkina, Gogola i Szczedryna. Zresztą w tym razie szło mu o zdobycie środka do poznania urzędowych sprawozdań ziemskich o stanie ekonomicznym kraju. Podobnie i w innych dziedzinach wiedzy posiadał szerokie wiadomości.

Kładł się bardzo późno, lecz już o ósmej, najdalej dziewiątej rano był na nogach, wypijał czarną kawę, przeglądał gazety i udawał się do swojej pracowni, w której przesiadywał do drugiej i trzeciej w nocy. Robotę przerywał tylko podczas posiłku i niekiedy wieczorem, jeśli pogoda sprzyjała przechadzce. Dniem spał godzinę lub dwie. W wieku młodym przesiadywał nad pracą całe noce. Robota stała się namiętnością, tak, iż zapominał o jedzeniu i uciekał od stołu natychmiast po ostatniem daniu. Zresztą jadł mało i brak apetytu zwalczać musiał ostremi przyprawami. Nadmierna praca umysłowa była powodem takiego stanu, w którym cały organizm poświęcono w ofierze mózgowi: myślenie stało się najwyższą rozkoszą. Palił namiętnie. „*Kapital* nigdy nie wróci mi tych wydatków, jakie przy pisaniu go poniosłem na cygara." Zaiste, organizm musiał być silnie zbudowany, inaczej nie wytrzymałby takiego trybu życia i nie zniósłby tak wycieńczającej pracy. Zresztą Marx zgoła nie dbał o swoje zdrowie i spacer był jedynem ćwiczeniem ciała. Całemi godzinami, rozmawiając i paląc, mógł chodzić bez najmniejszego zmęczenia. Można nawet powiedzieć, że w pracowni swojej pracował chodząc, siadał bowiem tylko na chwilę, aby przenieść na papier myśli swoje i wstawał znowu, aby snuć je dalej. Podczas spacerów, kiedy rozmowa ożywiała się i potrącała o coś ważnego, stawał. „Przez lat kilka towarzyszyłem mu — opowiada Lafargue — wieczorem w jego przechadzkach do Hampstead Heath. W tych spacerach po łące otrzymałem odeń moje wykształcenie ekonomiczne. Bezwiednie rozwijał przede mną całą treść pierwszego tomu *Kapitału* w miarę jak go pisał. Po powrocie do domu zapisywałem, com słyszał, chociaż początkowo z trudnością zdołałem podążyć za zawikłanym biegiem jego myśli. Niestety, straciłem te cenne notatki, które zrabowano i spalono podczas wypadków 1871 r. Zwłaszcza żal mi notatek zrobionych tego wieczoru, kiedy Marx z właściwą mu obfitością faktów i pomysłów rozwijał swoją genialną teoryę o rozwoju społeczeństwa ludzkiego. Jakby zdarto z oczu moich zasłonę. Po raz pierwszy jasno zrozumiałem logikę dziejów. Zostałem olśniony i całe lata zostawałem pod wrażeniem rozmowy. Teorya ta oddziałała podobnie, kiedy wypadło mi rozwijać ją w Madrycie przed hiszpańskimi współtowarzyszami i współwyznawcami."

Umysł Marxa był uzbrojony nieprawdopodobnem mnóstwem faktów z dziedziny historyi, nauk przyrodniczych oraz filozofii, lecz wszystko było należycie uporządkowane, a on umiał przewybornie posługiwać się nagromadzonym materyałem. Mózg jego był jak okręt wojenny, stojący w porcie z gotową parą i mógł w każdej chwili wyruszyć w tym lub innym kierunku. *Kapitał* świadczy o potężnej sile umysłowej i rozległej wiedzy, lecz ani to, ani też żadne inne dzieło zmarłego nie daje jeszcze dokładnego wyobrażenia o uzdolnieniach autora. Marx dyktował Lafargueowi swoje prace i ten ostatni z całą słusznością może wydać wyrok o naturze umysłu, który stworzył *Kapitał*. Otóż zdaniem francuskiego publicysty, fakty i pomysły, tyczące się jakiegoś zjawiska, odrazu występowały w wyobraźni Marxa, lecz sama ta obfitość czyniła dlań wykład rzeczą nader trudną i mozolną. Badając jakie zjawisko, rozkładał je na części, w takiem wyodrębnieniu rozpatrywał każdą aż do ostatecznych granic w jej przekształceniach, ewolucyach i przewrotach i dopiero na tej szczegółowej analizie odnajdywał wzajemny związek i oddziaływanie pomiędzy niemi. Zamiast pojedynczych rzeczy, samych w sobie i bez łączenia z otoczeniem, miał on wciąż przed oczami cały świat w jego złożonym a zawikłanym biegu i chciał oddać go w takiem wzajemnem poplątaniu i oddziaływaniu. To też nigdy nie był zadowolony z wyników swojej pracy i wciąż zmieniał coś i znajdował, że jego przedstawienie rzeczy oddaje wadliwie rzeczywistość. Studyum psychologiczne Balzaka *Le chef de l'oeuvre inconnu*, tak bezwstydnie okradzione przez Zolę, wywarło nań silne wrażenie, znalazł bowiem tutaj opis własnych stanów wewnętrznych. Genialny malarz dręczy się wciąż niepodobieństwem odmalowania rzeczy tak, jak mu się one przedstawiają w umyśle, więc nakłada coraz nowe barwy, a kiedy obraz stał się jedynie pstrokacizną, wtedy dopiero artysta doznał zaspokojenia. Wciąż trzymał się gruntu realnego. Ekonomiści, niezdolni do samodzielnego myślenia, zarzucają mu abstrakcyjność, tymczasem on nigdy nie postępował na wzór geometry, który wziąwszy określenia z otaczającej go rzeczywistości, wyciąga dalej wnioski, nie troszcząc się o nią. Nadaremnie w *Kapitale* poszukiwalibyśmy definicyj lub formułek, mamy tutaj jedynie do czynienia z analizą. Autor naprzód stwierdza fakt namacalny, że bogactwo kapitalistyczne składa się z towarów, później bierze tę rzecz zmysłową, ten towar, obraca go i rozpatruje ze wszystkich stron, wyrywa jedną po drugiej tajemnicę jego bytu. Zbadawszy towar wzięty odrębnie, analizuje stosunek jego do innych — wymianę. Potem zajmuje się rozbiorem rodowodów towaru. Lecz wszystko to jest tylko oddaniem istotnej dyalektyki towaru. Zresztą Marx pracował nad wszelki wyraz sumiennie. Najmniejszy fakt lub datę czerpał ze źródeł najwiarogodniejszych. Nic nie brał z drugiej ręki, lecz wciąż docierał do samego źródła bez względu na uciążliwość takiego postępowania. To też krytycy nie zdołali dotychczas wykazać, że w swych wnioskach oparł się kiedykolwiek na podejrzanych lub niewiarogodnych faktach. Z tego powodu wypadało mu czytać autorów zupełnie nieznanych, jak to można spostrzedz z cytat w *Kapitale*. Zarzucano mu popisywanie się erudycyą, ale istotny powód był inny. „Wymierzam sprawiedliwość, dziejową, każdemu oddaję myśl jego." Podobnie i w pracach literackich nie powoływał się nigdy na fakt, którego nie zgłębił dostatecznie. Był nawet tak drażliwy, iż twierdził, że prędzej spaliłby swoje rękopisy, niż miałby zostawić nieukończone. Aby napisać 20 stronic z *Kapitału* o prawodawstwie fabrycznem, przestudyował całą bibliotekę z *Ksiąg błękitnych*, które zawierały sprawozdania komisyj i inspektorów fabrycznych...

Studyum Lafarguea jest nieukończone. Być może, powrócimy do niego, kiedy ukaże się reszta.

R. K.

BADANIA NAUKOWE.

Z DZIEJÓW FEODALIZMU.

Początki feodalizmu.—Teorya Fustel de Coulanges'a.—Ostatnie jego dzieło: Histoire des institutions politiques de l'ancienne France. L'Alleu et le domaine rural. Paryż 1890.

Pojęcia, mające powszechny obieg co do początków feodalizmu, można zsumować w sposób następujący: gallowie byli przed najściem rzymian narodem zupełnie wolnym. Uciemiężyli ich dopiero cesarze rzymscy. Gdy później germanowie przekroczyli Ren, aby zniszczyć despotyzm tych ostatnich, nieszczęsni gallowie ulegli nowej tyranii, tyranii barbarzyńskich najezdców, która trwała dziesięć wieków pod nazwą feodalizmu. Zauważmy, iż barbarzyństwo ówczesnych germanów nie przeszkadzało, zdaniem powszechnem, aby wśród nich panowały „wolność, równość i niezależność;" było ono zarazem w zupełnej zgodzie z podbojem innych narodów.

Romans ten historyczny stworzony został przez Montesquieu'go i nosi na sobie wszystkie cechy idealizmu myślicieli XVIII stulecia, a głównie Rousseau'a, który sielankę powszechnego szczęścia chętnie umieszczał w nieokreślonych mgłach przeszłości. Fantastyczna ta mara coraz bardziej pierzcha pod ciosami faktycznej krytyki. Nie ulega wątpliwości, iż raj swobody panował niegdyś i śród gallów i śród germanów, chociaż barwy, jakiemi go malowali idealiści, były zupełnie fałszywe, ale raj ten był już oddawna stracony przez pierwszych za czasów rzymskiego podboju, a przez drugich — za czasów przekroczenia Renu. Dalej „podbój" gallow przez germanów nie posiada bynajmniej tego charakteru, jaki mu bujna fantazya Montesquieu'go nadała i nareszcie feodalizm z „podbojem" tym nic wspólnego niema.

Oto punkty, które Fustel de Coulanges niezbicie uzasadnił w znakomitem dziele, noszącem tytuł „Les institutions de l'ancienne France," którego autor nie zdążył, niestety, ukończyć przed śmiercią. W pierwszym tomie tej pracy *) okazuje on, iż u gallów przed najściem rzymian, a u germanów w pierwszym wieku po Chr. „swoboda" wyrażała się w braku wszelkiej władzy centralnej; rządy były republikańsko-arystokratyczne; jedności narodowej ani śladu. Jeżeli władzy centralnej jeszcze nie było, to natomiast władza miejscowych panów wyrażała się w najrozmaitszych formach niewoli. Dawny ustrój rodowy przedstawiał już zupełną ruinę, nie wyłonił z sibie jeszcze nic trwałego. Zetknięcie się więc z Rzymem było i dla gallów i dla germanów dobrodziejstwem, dawało im bowiem gotową, bogatą cywilizacyę, którą sami mogliby wypracować dopiero w drodze długoletniej pracy, nie zabiło natomiast wrzekomych ich swobód, gdyż ich nie było. „Podbój" państwa rzymskiego przez germanów przedstawiany zwykle bywa w świetle fałszywem; nie narzucali bowiem Rzymowi swej władzy, przeciwnie, wchodzili w gotową jego organizacyę, czy to osiadając jako rolnicy, rzemieślnicy, kolonowie, czy też wstępując do służby wojskowej.

*) *La Monarchie franque*. Paryż I-e wyd. w r. 1875.

Nie zadali też żadnego gwałtu i gallom, osiedli wśród nich najspokojniej, jak i w innych częściach Cesarstwa, nie żywiąc najmniejszej nienawiści względem zwyczajów i urządzeń rzymskich. Gallię Rzym zupełnie zasymilował, gdyż była przez dłuższy czas pod jego wpływem i zrobiłby niewątpliwie toż samo z germanami, gdyby był zdążył, ale, niestety, zginął przedtem przez własne, wewnętrzne dolegliwości. Odbyło to się formalnie w r. 476, gdy Cesarstwo przeniesione zostało do Konstantynopola. Na zachodzie rząd przechodzi do rąk królów barbarzyńskich, którzy biorą w swe ręce spuściznę po cesarzach rzymskich. Arystokracya zachowała dawne swe prawa. Klasy niższe sprowadzone zostały do niewolnictwa, kolonatu, klienteli. Była to ewolucya, a nie rewolucya, jak tego chcą zwykli historycy. Podbój państwa rzymskiego przez germanów odbył się naprzód spokojnie, a dalej nie przedstawia bynajmniej przełomu w porządkach społecznych. W nowem społeczeństwie, które osiadło na ruinach Cesarstwa, widzimy wprawdzie różnice majątku i urodzenia, ale istniały one już dawniej i w świecie rzymskim i w germańskim. Spotkanie się dwóch narodów nie stworzyło nierówności, zachowało je tylko, nie naruszyło także urządzeń politycznych Cesarstwa. Germanowie przyjęli i przechowali jego władzę centralną, jego administracyę, jego ustrój finansowy, wojskowy i sądowy. Jeżeli w ten sposób ustrój republikańsko - arystokratyczny ich ustąpił przed królewsko-despotycznym rzymskim, to „wolność" nic na tem nie straciła, ostatnie jej iskierki bowiem dogorywały już śród barbarzyńców, a bądź co bądź ustrój rzymski pod względem cywilizacyjnym był nieskończenie wyższy. Właściwie mówiąc, germanowie nie podbili ani Rzymu, ani Gallii; osiedli tylko w pierwszym i w drugiej. Feodalizm nie pochodzi więc z najścia barbarzyńców. Osiedlenie się ich w cesarstwie rzymskiem nie było gwałtowne i nie sprowadziło żadnego przewrotu; nie zniszczyło ono żadnej wolności, gdyż tej nie było ani w Germanii, ani w Gallii, ani w Rzymie.

W ten sposób romans, wysnuty przez Mablego, Montesquieu'go i in., opierający się na „chęci łażenia na czworakach," którą tak sobie upodobali filozofowie XVIII stul., rozlatuje się pod ciosami krytyki F. de Coulanges'a.

Odrzucając w ten sposób pochodzenie germańskie feodalizmu, autor nie zgadza się, aby podstawy tej instytucyi leżały w społeczeństwie rzymskiem, jak tego chcą inni. Jest to ustrój, który znajdujemy u wszystkich ras i społeczeństw, rozwijający się, jak każdy proces naturalny, nieznacznie, tak, że współcześni spostrzegają go dopiero wówczas, gdy już jest w pełnym rozkwicie *). Dlatego też nie sposób określić daty, kiedy ludność Gallii przeszła od ustroju monarchicznego do feodalizmu. Jest to proces nader złożony, zależący od wielu przyczyn, które działały w okresie pomiędzy V i X stuleciem. Autor postawił sobie więc na celu zbadanie stosunków politycznych, ekonomicznych i prawnych monarchii Merowingów (V—VII st.) i Karlowingów (VII—X st.). Dotychczas mamy dopiero dwa tomy, dotyczące pierwszej epoki.

Gdy feodalizm występuje przed nami zupełnie zakończonym w X w., ustrój jego polityczny odznacza się, jak wiadomo, podziałem kraju na mnóstwo niezależnych prawie państewek, w których rządzi, sądzi, zbiera podatki i organizuje siłę wojskową baron, bez wszelkiej prawie interwencyi ze strony króla. Otóż F. de Coulanges pokazuje nam w pierwszym tomie swego dzieła (*La Monarchie franque*), jak zaznaczyliśmy, zupełnie odmienne stosunki: monarchię absolutną, wzorowaną podług władzy rzymskich cesarzów, która jest jedynem źródłem prawodawstwa, administracyi i wojska. Nie tutaj więc trzeba szukać początków feodalizmu. Taką samą, przeczącą odpowiedź znajdujemy w drugim tomie „Instytucyi Francyi starożytnej," który niedawno wyszedł pod tytułem „L'alleu et le domaine rural pendant l'epoque merovingienne" i rozbiera stosunki ekonomiczne, tj. rolnicze, w okresie od IV do IX stulecia. „Pierwszą rzeczą, która nas tu uderza — powiada autor *) — jest trwałość faktów i zwyczajów. Jakiemi posiadłości były w IV w., takiemi pozostały w IX. Mają też samą rozległość, też same granice... Dzielą się zwykle na dwie części, jak i dawniej. Posiadacz jest właścicielem na zasadzie prawa własności, które pozostało niezmiennem. Ludzie którzy uprawiają ziemię, pozostali, jak i dawniej, niewolnikami, wyzwoleńcami lub kolonami. Zamiana niewolnictwa na kolonat trwa w dalszym ciągu..." Najście barbarzyńców nie zmieniło w dawnych gallo-rzymskich stosunkach ani joty. Mniemano, iż *allodium* (alleu) było instytucyą wprowadzoną przez franków. Miały to być ziemie zabrane mieszkańcom, które zdobywcy dzielili między siebie podług losu. Otóż F. de C. wykazuje (IV str. 149—171), iż ziemi germanowie nigdy u gallów nie zabierali i że *allodium* oznacza ziemie dziedziczne, które istniały już w epoce gallo-rzymskiej. „Ziemie te utworzyły się zdawien dawna naturalną siłą rzeczy. I niema najmniejszego dowodu, aby ustrój ten był kiedykolwiek zgwałcony lub naruszony" **). Ze wszystkiego tego autor wyprowadza wniosek, iż cały ustrój ziemski feodalizmu, jak go znajdujemy w X w. zupełnie wykończonym, niema właściwie nic wspólnego z feodalizmem. Wszystkie rodzaje ziemi, sposoby jej władania i uprawy, daniny, służby i pańszczyzny — wszystko to powstało daleko wcześniej od feodalizmu. „Wszystko to istnieć będzie wśród tego ustroju, ale nie stanowi jego istoty... Są to tylko odwieczne fundamenty, na których wzniesie się gmach feodalizmu."

Następnie F. de Coulanges przechodzi do rozpatrzenia stosunków prawnych w tomie, który wydawcy obiecują wkrótce ogłosić p. t. „Le Bénéfice." *Bénéfice* nie jest to rodzaj ziemi, jak mylnie sądzono, lecz „operacya prawna pomiędzy osobami, opartą na ziemi" — mówi F. de C. w ostatnim tomie. W pracy o „Immunité merovingienne" pokazuje on nam inną operacyę prawną, opartą na kwestyach rządu. To to właśnie stosunki prawne, wywołane przez nowe zupełnie warunki społeczne VI i VII stul., wytworzyły powoli ustrój feodalny. Nie pochodzi więc on ani z Germanii, ani z Rzymu, lecz z potrzeb życia społecznego nowej tej epoki.

Widzimy więc, iż feodalizm nie był, zdaniem F. de C., ani wytworem urządzeń politycznych — monarchij i jej dekretów, lub arystokracyi, jej walk i zwycięztw — ani wytworem nowych urządzeń ekonomicznych — germanowie mieli wrzekomo wprowadzić do Gallii zupełnie nowy ustrój rolny. Wytworzył się on natomiast drogą kontraktów prawnych, zawieranych przez oddzielne osoby odpowiednio do ich interesów prywatnych. Przedstawiano go dotychczas jako ustrój, wprowadzony doraźnie i w sposób gwałtowny, F. de C. uważa go za skutek długiej i powolnej ewolucyi. Głębsze rozpatrzenie istoty tego ustroju znajdziemy w następnych tomach dzieła, które pozostało w rękopisie. Uczniowie mistrza przygotowują je do druku.

L. W.

*) Myśl tę autor wyraża w „Recherches sur quelques problémes de l'histoire" Paryż 1885.

*) Str. 462—463.

**) Str. 463.

LITERATURA I SZTUKA.

LISTY WIEDEŃSKIE.

Krucyata duchowieństwa przeciw „Czwartemu przykazaniu" Anzengrubera. — Wykład dr. Rafała Löwenfelda o Leonie Tołstoju.

Powodzenie, jakie partya ultramontańska odniosła przy ostatnich wyborach do sejmu austryackiego, podnieca wojowniczość kleru, który dawnym zwyczajem zaczyna rzucać się obecnie na wszystko, co mu nie dogadza. Od lat dwudziestu nie pamiętamy w Wiedniu, aby księża występowali przeciw utworom literatury; dziś z ambony je krytykują. Wiadomo czytelnikom *Prawdy*, z jak niezwykłem powodzeniem wystawiono tu sztukę Anzengrubera p. t. „Czwarte przykazanie." Za przykładem Wiednia poszły sceny prowincyonalne, a wszędzie utwór największego niemieckiego poety ludowego potężne czynił wrażenie na słuchaczach. Duchowieństwo, zgorszone nową, rozumną etyką sztuki Anzengruberowskiej, padjęło istotną krucyatę przeciw „Czwartemu przykazaniu." Zabawnie odbywała się rzecz ta na prowincyi, gdzie wskutek kazań wygłoszonych przez księży przeciw tej sztuce, teatry bywały przepełnione, gdyż nawet wiejska ludność okoliczna cisnęła się na przedstawienia. Lecz ku niemałemu zdumieniu liberalnych wiedeńczyków, nawet z ambony katedry św. Szczepana odezwał się głos przeciw owemu dramatowi. „Obawiałbym się — mówił kaznodzieja Michele — ażebyście wszyscy z kościoła nie wybiegli, gdybym chciał tu opowiedzieć choćby część tego, co się w sztuce dzieje; skalałbym święte to miejsce, gdybym ustępy z niej przytoczył." Charakterystycznem było w przemówieniu kaznodziei, że bynajmniej nie starał się o nagięcie dogmatu kościelnego do poglądów i doświadczeń dzisiejszych; owszem, z zaciekłością nietolerancyi średniowiecznej bronił przepisów kościelnych w dosłownem ich brzmieniu, twierdząc, że nawet wobec najnikczemniejszego ojca syn nie powinien zachowywać się tak, jak Marcin wobec starego Szalantera. Ks. Michele zakończył kazanie swe następującemi słowy: „Protestujemy przeciw religijnemu tytułowi, jakiego użył Anzengruber. Protestujemy, aby nie zastosowano do nas słów Izajasza, żeśmy psami niecnymi, którzy milczą tam, gdzie szczekać powinni."

„Verein der Literaturfreunde" (Towarzystwo przyjaciół literatury) urządza corocznie szereg wykładów, zapraszając wybitniejszych literatów wiedeńskich i berlińskich do wygłoszenia krótszych prac swoich. Świeżo dr. Rafał Löwenfeld, którego imię znane jest publiczności warszawskiej, przybył do Wiednia z odczytem o Leonie Tołstoju. Od lat kilku zajmuje on się pismami tego autora, wydał obecnie niemieckie tłomaczenie ostatniego jego dzieła (Kreutzer-Sonate), a pragnąc poznać osobiście tego niepospolitego człowieka, wybrał się z odwiedzinami do Jasnej Polany. To też wykład Löwenfelda był nader zajmującym. Wiadomo, że Tołstoj pierwszą połowę swego życia, w której namiętność i ambicya nim kierowały, uważa za straconą. Tak silnie zaś wierzy w swe odrodzenie moralne, że w toku rozmowy wyraził się: „Przed siedemnastu laty, kiedym się narodził..."— „Wszak urodziłeś się pan w r. 1828?" — „To nie było życie!" Wówczas tedy, przed siedemnastu laty Tołstoj podsłuchiwał na rozdrożu jakiemś rozmowy wieśniaków pielgrzymujących i wreszcie do nich się przyłączył. Dziś posiadać ma zwolenników na najdalszych kresach Rosyi; pisuje do nich listy językiem ewangelii; listy te rozchodzić się mają w licznych odpisach, sporządzanych przez panie z lepszego towarzy-

stwa ruskiego, utrzymujące się tą pracą. Komentarz Tołstoja do ewangelii kosztować ma 60 rubli, każdy list 3 rs. Literatura zagraniczna mało obecnie go zajmuje; Goethe w oczach jego nie jest wielkim poetą, gdyż pierwiastek estetyczny, nie zaś etyczny, jest osią jego utworów. Pokój, w którym Tołstoj dziś pracuje, przypomina izdebkę studencką; jedyną jego ozdobą jest portret Artura Schopenhauera, zaopatrzony w autograf filozofa. Löwenfeld opowiada, że kilku magnatów ruskich zakupiło obecnie rozległe obszary, na których powstać mają gminy chrześciańskie w duchu Tołstoja. Sam on przy pomocy pewnego niemca założył w okolicy swej trzynaście szkół, z których część już zamknięto; reszta słabo się rozwija.

Stwosz.

ŚRÓD MUZ.

IX.

Drużyna Apellesa zaczyną się bawić w mistyfikacye. Niżej podpisany omal że nie padł ofiarą jednej z nich, szczęściem ocalił go niezbyt krótki wzrok.

Rzecz się tak miała. Wpadam do środkowego z trzech salonów Towarzystwa zachęty i ku wielkiemu zdziwieniu spostrzegam w dwu przeciwległych sobie kątach wielkie płótna Chełmońskiego. Azem zdumiał, skąd ten człowiek bierze tyle czasu? W duszy zaświtała nawet pewna radość z powodu, że wygłoszona kiedyś na tych samych łamach teorya, iż artysta ten zbyt wiele i szybko tworzy — znalazła świeże potwierdzenie. Duma literacka wzbijała się już w górę... tem bardziej, że żadna z wielkich owych płacht niczem istotnem w treści swej nie różni się od poprzednich. Na jednej droga polska, ciągnąca się prościutko między obszarami łąk i mokradeł i rowami zapełnionymi wodą, jak gdyby po niedawnym świętojańskim dżdżu. Śród traw pełno kwiateczków żółtych, rumianku, cykoryi, słowem zwykła botanika Chełmońskiego; a co najważniejsza, ten sam efekt wielkiej, nieskończonej zda się równiny, że z piersi głos sam się wyrywa, by zanucić tęskną dumkę. wstęgi wody niebieszczącej się śród bujnej trawy, mają też zwykły u niego nastrój zlekka melancholijny i, przezrocze odbijają w sobie obłoki.

Drugie płótno różni się od pierwszego tem, że jest znajome ale nieładne i robi wprost wrażenie gorszej edycyi tego z utworów nagrodzonego w Paryżu pędzla, który miał przywilej jednania szczególnych względów publiczności, a mianowicie owej szeroko rozlanej wody, której przejrzysty i dziwnie zadumany błękit pokrywały szerokie, okrągłe liście tak zwanej lilii wodnej. Motyw zupełnie ten sam, ale najwidoczniej zepsuty i traktowany tak, jak gdyby artysta przeszedł ciężką chorobę mózgową i często mechanicznie wygrywał te tony, które dawniej dźwięczały prawdą, uczuciem i poezyą, rzekłbyś, że do *Świtezianek* domalowaną, ale bardziej męką. Przytem niebo, choć ciemno lazurowe i prawie włoskie, jest matowe i ciężkie, woda nasycona farbką, również matowa, twarda i niczem świetnej techniki Chełmońskiego nie przypominająca. A już liście nawodne są całkiem niemożliwe. Jest ich, co prawda, pod dostatkiem, ale to powiększa tylko liczbę artystycznych kłamstw, albowiek każdy z nich jest upostaciowaniem fałszu. Przedewszystkiem — nie leżą one na wodzie, rozłożone własną swą miękością i prawem poziomu, lecz są kiepsko do powierzchni stawu przyfastrygowane, każdy w inny sposób. Autor prześlepił najwidoczniej jedną maleńką okoliczność, że wszystkie tego rodzaju liście są ściśle jednakowego kształtu i tylko wielkością się różnią, że linie, jakie wyobrażają na płaszczyznie, są do siebie podobne jak figury geometryczne, że jeśli który z nich rąbkiem nadwiędłym lub nadeschłym odstaje od szyby — to tworzy się w tem miejscu kontur ciemny, grubszy, wyrazisty i żółtawy.

W górze płótna białe, postrzępione obłoki—zwierciadło na ziemi powtarza ich rysy awanturnicze w ten sposób, że najpierw nie robi żadnego złudzenia, a powtóre mąci zupełnie spokój wody, wprowadzając szorstki zamęt między sterczące łodygi trzciny i zielone plastry lilii. Całość więc zamiast tchnąć ciszą i snem natury, wpatrzonej w siebie, krzyczy: gwałtu!

Setka innych błędów razi krajobraz i wprost dręczy umysł, w którym podobne motywy raz na zawsze zrosły się z nazwiskiem Chełmońskiego. A więc — *sic transit gloria mundi...* Miałby to już być początek końca?

Zaczyna się skrupulatne oglądanie malowidła z blizka. Zdziwienie wzrasta i gotowe w gniew i złość się zamienić, gdy wtem wzrok pada na umieszczony w rogu, starannie czarnemi zgłoskami wycackany, wymusztrowany jak do marszu, podpis: Eugeniusz Dąbrowski. *Tableau!*

Na drugiem płótnie to samo, jota w jotę. Odetchnąłem.

Szanowny artysto, będący zdaje się nowicyuszem! Jakiekolwiek są twoje zdolności i zamiary na przyszłość, pozwól sobie powiedzieć, że widz najpoważniej nawet usposobiony, dostrzegłszy ów gromki, z wołowych liter ustawiony podpis na obrazie, w którym tylko pędzel jest twoim własnym, a wszystko inne... pożyczonem—musi się wyśmiać w kułak. I nie byłoby w tem nic nienaturalnego, owszem, byłoby całkiem wytłomaczonem, gdyby ktoś z żywszym temperamentem, podszedłszy czujność dozorców Salonu, dopisał na jednym z owych przyszytych liści stosowny komentarz, lub gdyby np. komornik kładąc areszt na dziełach Chełmońskiego, czego mu, uchowaj Boże, nie życzę, wciągnął do inwentarza i te oto dwa wielkie pejzaże. Miałby zupełną słuszność.

Dawniej istniał chwalebny zwyczaj, że ktoś kopiujący znakomity obraz albo własną swoją wielkość chował pod korzec, albo nadmieniał wprost, w jakim stosunku robota jego pozostaje do oryginału. Ale niestety, dziś są czasy — „buchania.“

W wypadku bieżącym wprost nie chce się wierzyć oczom własnym i człowiek przywołuje na pomoc domysł, że p. Dąbrowski jest młodym bardzo uczniem Chełmońskiego, ośmielonym przez pobłażliwość mistrza do odegrania w malarstwie roli „cudownego Józia.“ Jeżeli przypuszczenie to jest mylne, tedy debiuty, o których mowa, nazwać można z czystem sumieniem — plagiatami.

Jeden z nich, mianowicie przedstawiający drogę w chwili wschodu słońca, nie jest bynajmniej plagiatem złym. Gra świateł na niebie, pokreślonem smugami obłoków, ma zalety prawdziwości i żywo oddaje wczesny poranek letni z jego jasnością niepewną i nieśmiałą, niepozwalającą odgadnąć, w którym to punkcie wypłynie na niebo ognista tarcza słońca. I linia widnokręgu jest odległą bardzo, dając perspektywę daleką. Ludzie, idący drogą, ziębną naturalnie i kulą się z wilgotnego zimna.

Rzecz jednak zabawna i charakterystyczna, jakim sposobem p. Dąbrowski osiągnął przyjemne wrażenie wielkiego bezmiaru pól, oto, nie jak domniemany jego kierownik, za pomocą pełnego finezyi i wyrazu — odtworzenia sterczących zoddali wierzchołków drzew i domostw, lecz przez znaczne podniesienie granicy horyzontu. Owóż — to nie sztuka lecz sztuczka. Tym fortelem możnaby oddawać na płaszczyźnie setki mil, ale trzeba by sobie wyobrazić, że malarz stoi wówczas na wzniesieniu, albo wzbija się balonem w górę. Bo niechaj na chwilę jeno zejdzie na zwykły poziom, wnet i perspektywa obniży się znakomicie. To też patrząc na umyślnego, który drepce po błocie na obrazie powyższym, mimowoli zapytujemy siebie, gdzie należałoby stanąć ażeby go módz widzieć tak całkiem z przodu, jak go namalował artysta — chyba przed nim samym, nos w nos. W każdym innym bowiem razie przy tem podniesieniu perspektywy, możnaby ujrzeć czubek głowy i wierzch ramion, a resztę figury tylko w skróceniu.

W dodatku, sama droga jest idealnie prosta; nawet tor kolejowy nie bywa tak bezwzględnie prostym.

Wiele zresztą zalet światła i powietrza utwór ten posiada i oto dlaczego zasługiwał wraz z towarzyszem swym, mimo brak oryginalności, na szerszą wzmiankę.

Krajobrazem dojrzałym i starannie wypracowanym znowu podtrzymuje dobrą swą sławę p. Stanisław Wolski. Rodzina obywatelska, przyjechawszy bryczką pod brzeg lasu sosnowego, używa słodkiego na tle sielankowem wczasu. Stara jejmość przechadza się wzdłuż drzew z książką w ręku, młoda panienka zrywa kwiaty na równiankę, sam pan dziedzic z fuzyą, przewieszoną przez plecy, rzuca wyżłowi gałązkę do aportowania, a żona jego siedzi pod parasolem na trawie i zajmuje się — ba, w tem właśnie sęk, że nie wiadomo co ona robi; prawdopodobnie odpoczywa i napawa się balsamicznem powietrzem, ale w takim razie na co to spojrzenie pozującej malarzowi modelki, z silnie podfarbowanemi oczyma? Widocznie jest świadomą tego, że ze swym jaskrawo-czerwonym stanikiem ma w obrazie odegrać rolę bardzo ważną, a mianowicie zapełnić brak tonów gorących. Z posłannictwa tego wywiązuje się dosyć szczęśliwie, szkarłat bowiem jej stroju silnie promieniuje na całe niemal płótno i znakomicie je ożywia; może nawet za znakomicie, bo rodzi znowuż potrzebę tonów dopełniających, które spódniczka koloru lila, noszona przez panienkę, i kilka bladawych skrawków nieba wyobrażają zbyt słabo.

Nie raziłoby to wcale, gdyby pejzaż malowany był dyskretnie, jak się u nas kłamliwie wyrażają: „po monachijsku“ — Monachium dawno straciło charakter jednolitej szkoły — że jednak koloryt jego podniesiony jest do skali wysokiej, zarówno w całem tle zielonem, bardzo silnie zielonem, jak i w plamach żółtych, więc ta niejednakowość siły, że tak powiem, pomieszanie *piana z fortissimem* niepokoi oko, i jestem pewien, że energiczniejsze zaznaczenie miejsc zimnych doskonale by obrazowi zrobiło.

Po za tem wszystkie momenty jak i całość tchnie prawdziwem życiem. Pyszne są wyczute cienie w głowach drzew, dróżka podlesna z rzuconemi na nią sylwetami pojedyńczych sosen, daje niemal przedsmak żywej natury; całą negliżową i nieestetyczną swobodę w postawie i ubraniu posiada jegomość, bawiący się z psem, dużo ma charakteru grupa bryczki z końmi, spoczywającymi na drugim planie w cieniu; daleko się rozciąga zielony kobierzec łąki upstrzonej w pół — ukrytem śród trawy kwieciem. Słowem, gorące, słoneczne i wonne zaranie swojskiego lata dobrze zostało zaobserwowane przez artystę. Strona techniczna świadczy wymownie, że Wolski jest malarzem nietylko dobrego smaku, ale i dużo w swej sztuce umie, wszakże o ile troskliwie wystudyował tutaj, refleksy, odblaski kolorów żywszych, o tyle rysunek w wielu szczegółach np. w rękach pani, trzymającej parasolkę, pozostawia, jak się u nas w podobnych wypadkach wyrażają urzędowi recenzenci pism codziennych — „trochę do życzenia.“ Naszem zdaniem o tyle „trochę,“ że owe ręce godne są... obcięcia.

Cezary Jelenta.

TEATR.

Edmund Gondinet. *Paryżanin*, komedya w 3 aktach.

Komedyopisarz lżejszego pokroju, odtwarzający wyłącznie typy z bruku paryskiego, Edmund Gondinet, po za rogatkami ulubionego miasta traci już swą popularność. Należy do autorów starszych (ur. w r. 1829), ale pomimo długoletniej pracy nie dorósł do Augier'a Sardou'a lub Dumas'a (syna). Sztuki jego są wytworne, nie przekraczające przyzwoitego tonu, zaprawione zręcznym dowcipem salonowym, ale nie są wyrazem szerszych dążeń lub uczuć społecznych; mało też posiadają pierwiastku psychologicznego. Czasem autor przyciemnia tło swych utworów barwą pesymistycznej tendencyi (*Les braves gens*), albo występuje jako bojownik ze strony nierozerwalności związków małżeńskich (*Les grands enfants*). Do lepszych należy komedya, wystawiona obecnie u nas na deskach teatru Rozmaitości p. t. *Paryżanin* (*Un Parisien*). Bohater jej, Brichanteau (p. Tatarkiewicz), to paryżanin z krwi i kości, epikurejczyk w wyższym stopniu, szczerze przywiązany do eleganckiej dzielnicy miasta, po za którą nigdy się nie wychyla, do swego mieszkania z komfortem urządzonego, do statuetek, obrazów i wszelkich drobiazgów, upiększających jego apartamenty. Bogaty, młody, żyje bez troski, może dogadzać swym zachciankom. Rozkoszą jest dla niego wsłuchiwanie się w gwar uliczny, jak dla wieśniaka szum lasów i chór ptasi. Życie takie nie stwarza jednak żeń wyniosłego zimnego samoluba. Autor, nie chcąc zrobić pasorzytem swej postaci pierwszorzędnej, daje jej sposobność do rozbudzenia uczuć humanitarnych. Brichanteau znajduje osieroconą ubogą dziewczynkę Genowefę (p. Zimajerówna) i przygarnia ją, daje wykształcenie dostatek i spokój. Sam się do niej przywiązuje, obdarza uczuciem ojcowskiem. Jest dla niej dobrym, łagodnym, nie grzeszy także surowością względem swego kamerdynera, spoufala go, uśmiecha się wtedy, gdy ten mu powiada, że tylko u równego sobie może służyć. Całe zniecierpliwienie chlebodawcy skupia się w łagodnej często powtarzanej uwadze: „Czego się tak krzywisz.?“ Raz tylko unosi się, gdy właściciel domu wymawia mu mieszkanie. Przywiązanie do lokalu jest osią, około której obraca się cała akcya sztuki. Nowy właściciel Savourette (p. Frenkiel), ożeniony z wdową, chce się pozbyć ze swego domu kawalera, wychowującego młodą dziewczynę. Pobudką tu jest zazdrość i obawa względem żony. W chwili gdy Brichanteau rozpacza nad utratą ulubionego mieszkania, zjawia się doń pani Pontaubert z mężem i córką pod pozorem jakiegoś urojonego powinowactwa i zaprasza go do siebie na prowincyę. Paryżanin, obrzydziwszy swego prześladowcę, przystaje na to i zabiera z sobą Genowefę, nie przeczuwając, że nań zastawiono pułapkę matrymonialną. Łowy te odbywają się przez cały drugi akt. Leonida (p. Czaki), córka pp. Pontaubert, w samej rzeczy podoba się gościowi ze swej świeżej powierzchowności i wykształcenia uniwersyteckiego. Gdy młoda sawantka uprzejmie uczy paryżanina astronomii w sposób poglądowy i rozmawia z nim po grecku, plotkarska prowincya upatruje w tem schadzkę miłosną, a pani domu uważa to za wyłom forteczny, przez który usiłuje zdobyć twierdzę zięciową. Plotki, nieporozumienia, pojedynki, nudzą paryżanina, a zamknięcie Genowefy u jakichś kumoszek, zachowujących reguły klasztorne, wyczerpuje jego cierpliwość. W tym czasie przybywa „nowy właściciel“ i wywołuje scenę burzliwą: Savourette, wszedłszy do mieszkania Brichanteau w jego nieobecności, znalazł tam fotografię swojej żony i oto przebył 700 kilometrów po wyjaśnienie, które otrzymuje wszakże nie wcześniej aż w Paryżu. Dręczony przez pisma i znajomych uwagami, że jest zazdrosny o żonę i dlatego wymówił mieszkanie, wraca je dawnemu lokatorowi z kontraktem na lat 20. Fotografia niby potrzebna była ministrowi, u którego Brichanteau wyrabiał order dla poprzedniego małżonka pani Savourette. W rzeczywistości był to dawny romansik. Komedya, traktowana lekko w dwóch aktach, przybiera ton poważniejszy przy końcu. Państwo Pontaubert nie przestają prześladować paryżanina, który w końcu obiecuje żenić się z Leonidą „jako prawdziwy gentleman.“ Jednocześnie stara się wydać swą wychowanicę za przyjaciela, Fryderyka de Fougerolles (p. Wolski) ale ten wzdraga się pod naciskiem opinii publicznej, potępiającej „pupilkę kawalera“ i prosi o zwłokę do namysłu dopiero wtedy, gdy opiekun zamierza adoptować dziewczynę i oddać jej połowę majątku. Rozwiązanie jest niespodziane; okazuje się, że Leonida kocha kogo innego i była tylko posłuszną woli matki, zaś Genowefa miłuje swego opiekuna, któremu naraz oczy się otwierają i następuje samowiedza uczuć w nim samym, nigdy nie badanych. Tę chwilę psychiczną autor usiłuje objaśnić niezwykłym charakterem Brichanteau'a, szukającego zaspokojenia namiętności zmysłowych śród lekkich mężatek i zachwycającego się niepokalanemi dziewczętami tylko jako pięknem wyższem. Od tych zasad w końcu odstępuje, zaślubiając wychowanicę.

Gondinet zwrócił uwagę na dwie główne postacie: Brichanteau i Genowefę, dla tego też inne wyszły szkicowo. Najbardziej razi niekonsekwencyą postać Leonidy. Dziewczyna, która potrafiła posiąść nauki ścisłe i samodzielny sposób myślenia, nie zdobyła się ani na odrobinę woli i pomimo iż ma wpływ na matkę (przynajmniej robi takie wrażenie), jest w obec niej trusiątkiem i dogadza jej zachciankom wbrew swemu sercu, w tak ważnej sprawie, jak związanie się na całe życie z człowiekiem obojętnym. Jeszcze bardziej razi nieprawdopodobieństwo w grze p. Czakówny, która z uczonej zrobiła... zupełną gąskę. Prawda, że dla artystki tej miary jest to za błaha rola, ale bądź co bądź nie zasługuje ona na lekceważenie tak widoczne. P. Tatarkiewicz wybornie odtworzył postać paryżanina i swoją grą z pewnością zadowoliłby autora. Drugą trudną i wielką rolę otrzymała p. Zimajerówna, z której wywiązała się dość szczęśliwie, ratując się inteligencyą tam, gdzie rutyny brakowało. Znać, że artystka nie idzie po omacku. W pewności i swobodzie znajdujemy postęp, ale dykcya, jak zwykle, pozostawia wiele jeszcze do życzenia. Farsowego zakroju postać kamienicznika odegrał ze szczerym humorem p. Frenkiel. Kamerdyner Gontran i p. Pontaubert nie zwróciliby wielkiej uwagi, gdyby nie wyborna mimika pp. Szymanowskiego i Ostrowskiego. W ogóle sztukę wystawiono starannie, dekoracye efektowne, co przy dobrej grze artystów powinno zapewnić jej powodzenie.

Zenon Pietkiewicz.

FEJLETON.

LIBERUM VETO.

Rzeczywiście potworna zbrodnia. — Głębokie wrażenie. — Artyści zbrodni. — Domniemania. — Nieostrożność i niedbalstwo. — Tajemnica rzednieje. — O czem wprzódy trzeba radzić. — Reakcya w uwielbianiu dla Kocha. — Ostateczna likwidacya Zwierzyńca. — Kozioł oflarny. — Muzeum etnograficzne. — Zgodny chór. — *Gazeta polska* dokonywająca suggestyi na Towarzystwie kredytowem ziemskiem. — Jego sprawy domowe.

Doczekaliśmy się wreszcie prawdziwie potwornej zbrodni, nie tej, która swą potwornością służy tytułom artykulików *Kuryerowych*, ale tej, która wstrząsa, pognębia, gniewem krew burzy i każdemu wlewa żądzę doraźnego *lynch law'u*. Od tygodnia wszyscy czytelnicy gazet są jak gdyby zmorfinowani strasznym wypadkiem na własne bóle i ubezwrażliwieni na inne nowiny: rozmyślają tylko o nieszczęśliwych ofiarach zbrodni, Szmicie i Kuźnickim, o zuchwałych i nieschwytanych dotąd mordercach, o całej tej krwawej tragedyi, która rozegrała się w wagonie kolejowym na drodze między Łowiczem a Pniewem. Spotykam ludzi, którzy ciągle w wyobraźni siadają do pociągu ze złoczyńcami, obserwują ich zachowanie się, odtwarzają sobie scenę mordu i kradzieży, widzą, jak jeden roztrzaskuje głowę kastetem Szmittowi, drugi uderza sztyletem Kuznickiego, który zrywa się, broni, walczy, ale wreszcie pod śmiertelnymi ciosami, ugodzony z tyłu przez tamtego, już niezajętego zbója, upada, jak oprawcy wyrzucają zabitego i konającego z wagonu, jak zabierają 55,000 rs., wyskakują przed stacyą i nikną w ciemnościach. Czasem imaginacya biegnie dalej za nimi, śledzi uciekających przez pola i zarośla, dopóki dwie okrwawione postacie nie rozpłyną się w mrokach nocy. Nie pędzi zaś ludzi po tropach zbrodni bezmyślne zaciekawienie, łaknienie wrażeń drażniących, ale głęboki żal i gniew. Bo w tej rzezi nie padli dwaj chciwcy, lichwiarze, wyzyskiwacze, ale biedacy, którzy nie zawinili nawet posiadaniem wydartych im pieniędzy, a musieli odznaczać się wyjątkową uczciwością, skoro im powierzano tak znaczne sumy. Jeden z nich, Szmitt, przez lat 20 woził co środa tysiące rubli do fabryk cukru, strzegł ich wiernie jak żelazna skrzynia i jak skrzynia został rozbity. To już nie zwykłe morderstwo, ale ohydne świętokradztwo, popełnione na zacności człowieczej. Nie pamiętamy też u nas zbrodni, któraby w tym stopniu, co obecna, przejęła wszystkich zgrozą i pragnieniem kary na winnych. Zdaje się, że tłumy pobiegłyby dla odszukania ich, gdyby spodziewały się, że odnajdą. Z wykonania wszakże przedsięwzięcia i zebranych poszlak widać, że to są zbóje niezwykłej miary, nie jacyś prości rabusie, którzy myślą tylko o zdobyciu łupu i ucieczce na oślep. Tu plan był obmyślany misternie i przebiegle, wyzyskane wszystkie okoliczności, możliwie zatarte wszelkie ślady. Nie bez racyi też utrwaliło się w opinii przekonanie, że łotry należą do nieco wyższych warstw społecznych, może nawet czytali *Człowieka zwierzę* Zoli i od niego wzięli pomysł morderstwa w wagonie i wyrzucenia ofiar, a w każdym razie zuchwalstwem, zręcznością i sztuką przypominają bardziej słynnych zbrodniarzy Zachodu, niż naszych złodziejów pobytowych*). Sprzyjały im nieco okoliczności i — powiedzmy szczerze — nieostrożność i niedbalstwo. Ani Szmitt, ani dodany mu dla bezpieczeństwa Kuźnicki nie mieli nic do obrony, oprócz scyzoryka. Człowiek, który przez 20 lat jeździł co środa po tej samej linii z pieniędzmi, musiał być przecież znany służbie kolejowej. Tymczasem gdy kasyer na stacyi w Pniewie daremnie wywoływał Szmitta, nikt z obsługujących pociąg nie poszukał tego Szmitta i nie doniósł, że go widział. Dopiero krew na poduszkach wagonu, dostrzeżona przez pasażerów w dalszej drodze, dała powód do spóźnionego alarmu.

Obecnie w całem Królestwie odbywa się energiczne poszukiwanie złoczyńców, w którem, zachęcona wysoką nagrodą, bierze również udział ludność.

Nadzwyczaj ważną rolę w tej pogoni odgrywa kilka naszych dzienników. Porzuco-

*) Skutkiem schwytania ogrodnika z pod Pniewa, Baczyńskiego, do którego się schronili i który był ich wspólnikiem, wiadome już są nazwiska łotrów: Franciszek Pawlak, ex-lokaj, po zrabowaniu kasyera Scheiblerów w Łodzi grający rolę pana, oddawna ścigany' drugi zaś Jan Wyroskiewicz.

no już dziś starą zasadę, wymagającą milczenia prasy o przebiegu śledztwa. W Ameryce gazety, rozrzucając wszędzie wskazówki i powołując całą ludność do uczestnictwa, niezmiernie ułatwiają wykrycie przestępców, a tamtejsi reporterzy bywają najznakomitszymi agentami policyi. We Francyi również prasa przyczyniła się nieraz do ujęcia złoczyńców. Dobre skutki tej pomocy widzimy i u nas. Za najważniejszy uważamy ten stan podnieconej czujności, jaki się objawia w całem społeczeństwie. Najokropniejszy wypadek wstrząśnie umysłami chwilowo, ale jeżeli nie będzie utrzymany w świeżem wspomnieniu, szybko zatrze się w pamięci. Tymczasem ostatnie morderstwo dzięki prasie nie przestaje ciągle zajmować uwagi powszechnej, a zbrodniarze kryć się muszą przed milionami badawczych oczu. Ocalić ich może tylko albo nadzwyczajna przebiegłość, albo nadzwyczajne szczęście. Pierwszej dowiedli, drugie im służyło. Sumienie jednak ogółu czuje taką potrzebę pomszczenia karą krwi niewinnie przelanej, że woli łudzić się nadzieją, niż rozczarowywać zwątpieniem.

Wobec tej krwi dziwnie wygląda „kwestya," podniesiona na posiedzeniu akcyonaryuszów jednej z fabryk cukru: kto ma ponosić szkody z takich wypadków wynikłe: zarząd, czy akcyonaryusze. Mnie się zdaje, że wprzódy należałoby rozstrzygnąć, kto ma odpowiadać za niedostateczne ubezpieczenie życia ludzi, używanych do przewożenia pieniędzy. O to nas pytają cienie Szmitta i Kuźnickiego.

W uwielbianiu dla Kocha — było to zresztą do przewidzenia — objawiła się reakcya. W tym jednak odpływie uczuć jest tyle rozumu, co i w przypływie. Tłum — jak słusznie ktoś zauważył — po to ludzi wynosi w górę, ażeby z większej wysokości mógł ich na dół zrzucić. Do tego tłumu zaś należy nietylko zwykła, ciemna gawiedź, ale także wszyscy ci, którzy sami mało robią, ale chętnie innych sądzą. *Jury*, przed którym dziś stoi Koch, liczy miliony przysięgłych. Najsurowiej naturalnie wyrokują o nim ci, którzy środka jego nie wypróbowali i nie dostali. A nie dostało wielu, bo zapas się wyczerpał, zresztą Koch udzielił go tylko tym, którzy dawali mu rękojmię, że nie użyją szczepionki dla spekulacyi, lecz dla ścisłych i rzetelnych doświadczeń naukowych. Z naszych lekarzów otrzymał ją dr. Bujwid, znany badaczowi niemieckiemu z niedawnych u niego studyów i ciągłych stosunków. Bakteryolog nasz przystąpił do prób umiejętnie i sumiennie: grono lekarzy, zajmujących się sprawami gruźlicy, wybrało w klinikach szpitalnych pewną ilość chorych, którym, po spisaniu odpowiedniego protokółu, zaszczepiono płyn Kocha i poddano ich drobiazgowej obserwacyi. Za kilka tygodni będziemy mieli już niejakie wskazówki jego skuteczności, wolne od wszelkich sfałszowań i skażeń tendencyjnych, gdyż zbadane i zebrane pod wielostronną kontrolą. Że środek ten już dziś posiadamy i wypróbowywać możemy, jest to zasługą Bujwida. Wiele bowiem państw zdobyło drogocenną flaszeczkę tylko za pomocą starań swych ambasadorów; ze prywatnych zaś lekarzy bardzo niewielu dostąpiło tego odznaczenia. Koch bowiem nie posiada odpowiedniego zapasu, a nadewszystko obawia się, ażeby spekulacya nie wyzyskała jego środka ze złą wiarą i wolą, ażeby nie wytworzyła chaosu wątpliwości i podejrzanych rezultatów, które na długo przesłoniłyby fałszami poszukiwaną prawdę. Z naszej strony żadne niebezpieczeństwo jego wynalazkowi nie grozi. Przejdzie on próby dokonane rzetelnie i bezinteresownie, a o tyle wyczerpujące, że Koch przyrzekł Bujwidowi dostarczyć swej szczepionki do dalszych doświadczeń. Mają więc one zapewnioną nietylko ścisłość, ale i ciągłość.

Ogród zoologiczny ostatecznie już pogrzebany został. Uczestnicy spółki nic nie odbiorą ze swych wkładów, gdyż majątek jej oszacowano na 9,758 rs., długi zaś wynoszą 27,507 rs. Spadną one wyłącznie na barki gerenta, adwokata J. M. Kamińskiego, który tym kosztem opłaci swoje marzenie. Utonął tedy w nieszczęśliwem przedsięwzięciu poważny kapitał, dużo pracy, wysiłków i zmarnowanej energii, a zobowiązaniami niepokrytemi długo jeszcze będzie ono pochłaniać środki człowieka niezamożnego, który je podjął może ze zbytnim optymizmem, ale z dobrym zamiarem. Takie kąpiele chłodzą nietylko tych, którzy ich doświadczyli. Może niejedną setkę lat czas zbierze, zanim u nas ludzie pokuszą się o założenie nowego Zwierzyńca.

Usiłowano przynajmniej ocalić połączone z Ogrodem muzeum etnograficzne, do czego dopomógł p. Kamiński. Wyjaśnił on bowiem uczestnikom spółki, że po sprzedaży garści przedmiotów, będących jej własnością (inne pochodzą z darów prywatnych), nie otrzymaliby nic, gdyż osiągnięta suma przypadłaby jemu, jako wyłącznie odpowiedzialnemu wobec wierzycieli. Postanowiono zatem drogą dobrowolnej umowy zbyć muzeum gronu osób, pragnących je utrzymać. Będzie to jedyna pamiątka po Zwierzyńcu, który już faktycznie i formalnie istnieć przestał.

Prasa nasza, posiadająca zwykle tyle rozumów, ile ma głów, w ostatnich czasach kilkakrotnie objawiła dość rzadką zgodność. Między innemi uczyniła to w sprawie obsadzenia jednego z urzędów Towarzystwa kredytowego ziemskiego przez radcę z wyboru, który potrzebował takiej reparacyi swych interesów. Wprawdzie parę pism, które zrzeygnowały z własnego sensu i wobec pewnych powag lub instytucyj umieją *credere quia absurdum*, odłączyło się od chóru, a nawet usiłowało go rozstroić, ale napróżno. Do Towarzystwa przedostał się zbiorowy głos protestu przeciwko pokrzywdzeniu urzędników i — zdaje się — podziałał na nie. Jedni szanowną instytucyę zburczeli, drudzy wyszydzili, inni obłożyli synopizmami, a inni wreszcie starali się ją zahypnotyzować. Najciekawszą suggestyę wykonała na niej *Gazeta polska*. Zrobiwszy naprzód wymówkę prasie, że ta zajmuje się „domowymi zatargami" Towarzystwa, do których należy również sprawa mianowania radcy kasyerem, jednocześnie uznała, że „w gotowości Dyrekcyi głownej do uwzględniania tego rodzaju życzeń członków swoich... opinia publiczna znaleźć *może* punkt wyjścia do objawienia swego zdania." Z taką, dość oryginalnie wyprowadzoną racyą *Gazeta* rozpoczęła „poddawanie myślowe." Pogłosce ona nie wierzy. „Że któryś z radców — powiada — postawił swoją kandydaturę do posady etatowej, jest to *prawdopodobnem*; że pomiędzy kolegami dotychczasowymi znalazł zwolenników nielicznych, popierających jego zamiary, czy to przez współczucie, czy to przez butność i tężyznę, dla zadokumentowania swej niezależności, wobec wystąpienia prasy — i to jest *możliwem*. Ale stąd do rzeczywistego powodu zaniepokojenia pracowników instytucyi *daleko*." Daleko dlatego, że chociażby takiego kandydata popierały jednostki *wpływowe*, to „wpływowość kilku osób (w zarządzie kolegialnym, którego wszyscy członkowie są równouprawnieni) należałoby przypisać brakowi inteligencyi, energii, dobrej woli, a wreszcie obojętnemu traktowaniu poruczonych sobie obowiązków ze strony członków niewpływowych." Naturalnie *Gazecie* „trudno byłoby nawet przypuścić, iż tak ujemne właściwości cechują większość gremium dyrekcyjnego"; jest ona „przekonaną," że większość ta „dobrze *rozumie*, jak niewłaściwem byłoby zniechęcać pracowników swoich i zrywać ogniwo życzliwości z jednej, a szacunku z drugiej strony, łączące władzę z podwładnymi. Dyrekcya *rozumie*, że nie wypada jej przyswajać sobie zasady obsadzania wakujących wyższych posad kandydatami postronnymi, z pominięciem praw wysłużonych. Dyrekcya *rozumie*, że współczucie i miłosierdzie są to cnoty, które wszakże tracą charakter chrześciański, skoro są praktykowane z pokrzywdzeniem słuszności." Czy Dyrekcya to wszystko „rozumiała" — nie wiem, ale że „zrozumiała" — nie wątpię, a nawet sądzę, że niejeden członek z grona jej większości powiedział: wolałbym, ażeby ten wielbiciel miał mniejszą w nas „wiarę." Inna kwestya, czy Towarzystwo ulegnie tej suggestyi. Na razie — zapewne, ale gdy za radą *Gazety polskiej* jego „domowe zatargi" przestaną zajmować prasę, może po cichu jakiś radca przeskoczy baryerę oddzielającą go od urzędników tej instytucyi i zajmie wygodne śród nich miejsce. Wiadomo zaś, że „tylko pierwszy krok kosztuje," następny można już zrobić darmo i bez przeszkody. Możeby więc nie odstręczać prasy od wglądania w domowe sprawy Towarzystwa, zwłaszcza że żadna instytucya publiczna „domowych" spraw mieć nie może?

Poseł Prawdy.

NA WIDNOKRĘGU.

Co zyskują rolnicy u nas na bilu Mac Kinleya? — „Cnoty robotnicze." — Uwaga. — Głos jawnego kupca przeciw tajnym. — Nowa fabryka w Częstochowie.

Kij, który Ameryka w postaci bilu Mac Kinleya włożyła w mrowisko Europy, najbardziej poruszył przemysłowców, najmniej zaś—rolników. Jeśli oba te odłamy wstrząsnął, to pierwszych w przykry, a drugich w przyjemny sposób. Fabrykanci, słysząc zgrzyt klucza, zamykającego przed nimi wrota rynków amerykańskich, uderzyć muszą w płacz, gdy tymczasem rolnicy już wypogadzają czoła i zacierają ręce. Taka bowiem jest natura bilu protekcyjnego, jest on ciosem wymierzonym przedewszystkiem przemysłowi wielkiemu — rolnictwa nie dosięga. Ono już zawczasu oblicza zyski z tego zamachu. Rachunek bardzo prosty. Wcześniej lub później wielkie przedsiębiorstwa przemysłowe zmuszone będą albo zwinąć swoje warsztaty, albo zmniejszyć produkcyę. To pierwsze jednak nie będzie mogło się stać bez dotkliwych strat i katastrof, a ponieważ rynki amerykańskie są zamknięte, wywóz przemysłu zachodnio-europejskiego skieruje się natarczywiej do nas. To pociągnie za sobą zniżenie się cen na wyroby żelazne, bawełniane, wełniane, jedwabne itp. Naturalnie że na tem zyskają rolnicy, ponieważ mniej łożyć będą na machiny i narzędzia rolnicze, na jedwabie córek i żon, na okrycia własnego grzesznego ciała i. t. d. Ale nie dość na tem: zwiększy się odbyt na zboże krajowe, a z nim — cena jego. Amerykanie bili nas dotąd nietylko lepszą organizacyą handlu, ale także niższą ceną, która zależała od taniego przewozu zboża do Europy. Przed bilem Mac Kinleya statki parowe wiozły do Ameryki różne towary przemysłu, a wracając do domu, jako balast zabierały zboże amerykańskie, co wpływało na taniość przewozu. Dziś będą musiały wozić tylko zboże, co odbije się na taryfie przewozowej. Liczyć coś trzeba i na odwet państw najbardziej dotkniętych bilem, że ograniczą dowóz zboża amerykańskiego. To bezrobocie kapitalistów europejskich przeciwko amerykańskim sprawić może, iż po zboże zwrócą się do nas. Ceny podskoczą w górę!

Harmonia interesów klasowych, oparta na wzniosłej i tyle chwalebnej zasadzie „wymiany usług," nie może chyba znaleźć lepszego potwierdzenia dla siebie.

Niewątpliwie przyszłe społeczeństwo znajdzie słuszniejszy i rozumniejszy sposób rozwijania w swych członkach zalet dobrego i sumiennego pracownika, szafującego siłą roboczą w zupełnie odmiennych wa-

runkach, niż dzisiejsze. W obecnem tę rolę biorą na siebie indywidualistyczni kierownicy produkcyi i swoją pedagogikę mocno zabarwiają dążnościami własnej klasy, wpływem własnych interesów. Tresują oni zwykle najemnika dla własnych celów, do jego techniczno-fachowego uzdolnienia, które streszcza w sobie postęp ogólno-ludzki i jest cechą umysłową, wolną od wszelkich śladów jakiejkolwiek klasy, dodają jeszcze to, co stanowi właściwość pracy, wykonywanej nie dla siebie samego, lecz na rzecz innej osoby. Ten odcisk moralny, pozostawiony na duszy najemnika przez produkcyę prywatną, ten wynik przemijającego stanu rzeczy — możnaby nazwać „cnotami najmity.“ O te cnoty, czyli o świadectwa służbowe idzie jednemu z ziemian, który zabrał głos w *Gazecie lubelskiej*. Stara się on rozwiązać zagadkę, dlaczego ludzie, otrzymujący owe świadectwa, nie zawsze w dalszej służbie usprawiedliwiają przymioty zaznaczone. Rozmaite są tego przyczyny. Naprzód zmiana chlebodawcy i „wynikająca stąd niezbędność zastosowania się do innego nieraz charakteru otrzymywanych rozkazów.“ Zależy to także od charakteru samego właściciela, od podstawy na jakiej on organizuje gospodarstwo. „Jeden osobiście i czynnie gospodaruje, drugi wykonywa obowiązki właściciela przez delegatów. Dla jednego zachowują ludzie w służbie u niego będący, uszanowanie połączone z bojaźnią, dla drugiego — uszanowanie z mniejszą dozą bojaźni.“ Otóż jeżeli najmita opuszcza pierwszego z tych gospodarzy, u którego cnoty robotnicze występowały na jaw dopiero pod groźbą kary lub surowego dozoru, a zatem oddala się z dobrem świadectwem (że był sumienny, posłuszny itp.), a przechodzi potem do innego, gdzie cała „harmonia gospodarcza“ polega na lżejszym dozorze, to cnoty jego nie ujawniają się i w nowej służbie zyskuje on sławę i świadectwo — niesumiennego. I odwrotnie, opuściwszy pryncypała, u którego mniejszy rygor wystarczał dla wydobycia cnót najmickich i przeszedłszy tam, gdzie panuje sprężysta ręka, łatwo może się skłonić do nadużycia. Z tego właśnie źródła wypływa dość upowszechniony fakt niezgadzania się późniejszej konduity robotnika ze świadectwem uprzedniej, wymuszonej jego moralności. Nakreśliwszy w ten sposób genezę cnotliwości najmickiej, podaje szanowny „dziedzic“ następującą radę praktyczną:

„Byłoby może dobrze, gdyby we wszystkich świadectwach były zamieszczane warunki, przy jakich się spostrzegać pozwalały odpowiednie przymioty pracowników, jak np. wielka ich sumienność przy warunku ścisłego dozoru, albo podobnież wielka niesumienność przy dozorze łagodniejszym: nie jest to żadne ubliżenie w ten sposób kwalifikowanym indywiduom, nie jest to bowiem zaprzeczenie ich dobrej intencyi, jakby sądzić mógł ten, coby powiedział, że w pierwszym razie przymus, a w drugim łagodny nadzór były warunkami *sine qua non*, żeby służący postępował dobrze. Przeciwnie, zamieszczenie w świadectwie warunków, towarzyszących dobrym przymiotom, byłoby ze strony chlebodawcy świadectwem wypisywanem *samemu sobie*: jakie on środki, łagodne czy surowe przyznaje, żeby dobra pracownika intencya koniecznie się urzeczywistniła.“ Do tego życzenia ośmiela się dołączyć szanowny wnioskodawca jeszcze jedno, mianowicie, pragnie, żeby „dziedzice“ posiadali „księgi zarobkowe,“ w których byłyby zapisywane wyłącznie mniej więcej „wybitnie występujące“ zalety pracowników i „żeby dla ich dzieci w ciągu objawiających się tych zalet formować biografię ich ojca.“ Byłoby to „drogą pamiątką“ dla całych generacyj najmitów wiejskich, bo cnoty ich rodziców utrwalałaby się podwójną drogą: przez dziedziczność i tradycyę!..

A teraz my wysnujmy do końca ukrytą myśl tego wniosku. Co znaczy w gruncie rzeczy wyszczególnianie w świadectwach służbowych warunków, przy których najmita urzeczywistnia dobrą „intencyę dla pracodawcy?“ Jeśli to będzie jeden z tych, który pod rygorem okazał się „cnotliwym,“ a w mniej sprężystem ręku „skłania się ku nadużyciom“; pomieszczone w świadectwie „warunki“ będą tylko wskazówką dla następnych pracodawców jak mają go traktować w służbie: łagodnie, czy surowo. Czem znowu są owe „warunki?“ Lepiej zamilczmy, jeśli nie chcemy dotrzeć aż do najskrytszych tajemnic gospodarki folwarcznej i wynieść stamtąd na światło to, co pragnie być ukrytem... Przyzwoicie się wyrażając, są one szeregiem środków dyscyplinarnych, jakich pracodawcy wiejscy używają względem swoich pracowników, skłaniani do tego przez system pracy najemnej i — co zatem idzie — przez interes prywatnego wytwórcy.

W innym głosie z publiczności, który się także odezwał ze szpalt *Gazety lubelskiej*, zadźwięczał apetyt monopolisty. Skarży się on w imieniu kupców lubelskich, swoich kolegów, na brzydki zwyczaj — zbyt rozwinięty pod ich bokiem, „popyt do handlu“ (tak!). „Od pewnego czasu — żali się — wśród osób zupełnie niekompetentnych, bo o handlu niemających żadnego wyobrażenia, rozwija się pragnienie zarobkowania na tajnej sprzedaży różnych artykułów drogą albo wzajemnego *ustępowania* sobie sprowadzonych wprost ze źródeł towarów, albo zbierania w pewnych kółkach pieniędzy na *wspólne* sprowadzanie towarów i *dzielenie się* nimi po otrzymaniu.“ Na pozór ta robota wygląda przyzwoicie, po prostu idzie tu konsumentowi o zaopatrzenie się w artykuły dobre i z pierwszej ręki, przeciwko czemu nie odważa się ów oskarżyciel powstawać. Ale oko jego sięgnęło dalej — aż po za przyzwoitość, za którą stoi praktyka, inaczej wyglądająca. Jeden poznawszy się za granicą z hurtownikiem lub jego komisantem, przyjmuje po powrocie do kraju obstalunki od swoich znajomych i sprowadza dla nich dużemi partyami wino i koniaki; drugi zawiązał stosunki z fabrykantem tytoniu i sprowadza od niego cygara i tytoń; trzeci, mając kuzyna składnika lub plantatora herbaty, całemi setkami funtów sprowadza od niego ten towar itd. I czynią to wszystko tajemnie z obawy ciężarów, jakie dostają się w udziale uczciwemu handlowi, obdzielają tajnych spożywców częstokroć zamiast, jak zapewniają, wyborowymi gatunkami — pośledniemi. A tymczasem jawni kupcy mają sklepy otwarte, wynajmowane drogo; utrzymują obsługę, którą, na domiar nieszczęścia, obowiązani są odpowiednio wykształcić; opłacają patenty handlowe, podatki dodatkowe, kanon na kasę miejską i wiele — wiele innych jeszcze ciężarów, o których niewtajemniczonym — ani się śni. Nadto, ciąży na nich dużo obowiązków społecznych, bo są dla wszystkich widoczni itd. itd. Tajny kupiec niczego podobnego na sobie nie dźwiga. „Nie tylko jednak pojedyncze indywidua, czy nie wielkie grupy, uciekają się do tego rodzaju zarobków, ale nawet *całe instytucye*“ — zwierza się w dalszym ciągu łakomy kupiec. Nie biorę w obronę stanowczo żadnej strony — ani jawnej, ani tajnej — bo nie wiem, jakie by dało świadectwo sama rzeczywistość, ale wydziwić się nie mogę temu chłodnemu spokojowi, z jakim *Gazeta lubelska* przysłuchuje się głosom rozbrzmiewającym na jej szpaltach, nie zabierając w tej samej materyi — swojego! Może poczeka, aż jaki inny ze strony „tajnych kupców“ odpowie tamtemu, ale radząc w ten sposób na brak współpracowników bezpośrednio śledzących bieg miejscowego życia społecznego i abdykując z roli kierowniczki opinii publicznej — sprawia w niej zamęt. Tymczasem kto wie, czy krucyata, podjęta w imieniu jawnego handlu, nie jest protestem drobnego sklepikarstwa przeciw nieświadomej siebie, nie zorganizowanej (kooperacyjnie) potrzebie samopomocy spożywców i czy czasem owi tajni kupcy nie zadość czynią w pewnej mierze tej potrzebie, spotykając ze strony legalnych — denuncyacyą zazdrości? Na wszystko należałoby zwrócić uwagę, jak też i na ten fakt, zaznaczony wyżej, że w sprawie tej biorą udział „całe instytucye“ (jakie?).

Częstochowie przybywa nowa fabryka, wielka przędzelnia firmy „Motle, Meillassoux, Caullier et Delaousse.“ Puszczona ma być w ruch w końcu grudnia, rękami krajowych najmitów. Jest olbrzymi gmach, wzniesiony w ciągu pięciu miesięcy za sprawą olbrzymiego kapitału i trzech tysięcy rąk roboczych (1500 robotników). Szeroki jest na 76 stóp, a długi na 86, z kominem 200-stopniowym. Maszyna parowa ma siłę 800 koni, a sala do czesania i przędzenia wełny wynosi 500 stóp długości i 136 szerokości. Wszystkie zakłady są skanalizowane i w wodociągi zaopatrzone.

Z. Atanazy.

UNIKAT LITERACKI.

II.

Uprzednio jednak małe objaśnienie metodyczne.

P. Głowacki, który w przeciwstawieniu do mnie zdaje się wyprowadzać swój rodowód literacki od najdelikatniejszego z synów Noego, był tak grzecznym, że nietylko zwymyślał mnie od „oszczerców,“ „rozmyślnych fałszerzów,“ „egoistów“ itd., ale zarazem w tych epitetach dał mi słowniczek polemiki przyzwoitej, a nadto swemi uwagami o moim umyśle i charakterze nakreślił granicę, do której w rozbiorze psychologicznym autora, według niego, posuwać się można. Dogodnę mu też zapewne, gdy będę się trzymał i tego słowniczka i tej granicy.

Ponieważ na zasadzie mojej wzmianki, że „może najsłabszą stroną autora jest plan, układ, kompozycya“ — p. Gł. „przypuścił, że p. Ś. bywa niekiedy *poważnie chorym*, skoro odważa się bez dowodów (zobaczymy) stawiać *podobne* zarzuty,“ to niech mi również będzie wolno na zasadzie powyższych zestawień i poniższych wskazań postawić dyagnozę, że mój szanowny lekarz także „bywa niekiedy poważnie chorym“ na dwie manie: wielkości i prześladowania. Pierwsze z owych złudzeń objawiło się u niego z taką w literaturze nieznaną siłą, że gdyby ktoś tej samochwalbie zawierzył, powinienby pójść przed posąg Aristotelesa i powiedzieć: zejdź stary, bo wkrótce na twym piedestale stanie p. Głowacki. Shakespeare przeczytawszy jego autokrytykę w *Kuryerze* rzekłby: „rozkraczył się na dwu brzegach morza jak kolos Rodyjski, pod którym okręty przepływać mogą z najwyższymi masztami.“ Pycha ta ma, nie jak zwykle, jedno oblicze zabawne, ale dwa: rozśmiesza bowiem nietylko swoją miarą, ale i swoją naturą. P. Gł. nie przypomina Schopenhauera, który mniemał, że jest największym filozofem, bo przynajmniej był wielkim filozofem, ale raczej Granta, który obrażał się za tytuł prezydenta, gdyż uważał się za znakomitego generała. Autora *Placówki* oburza nazwa dowcipnego humorysty i mistrza drobnych obrazków, porównanie z Dickensem, Thackerayem Meissonierem, bo on jest głębokim i wysoce zasłużonym ekonomistą, socyologiem, a nadewszystko statystykiem — dlatego, że wydał 7 tomów powieści, z których „żadna go nie zadowala“ a powszechnie są cenione, oraz dlatego, że dał w "Kronikach" kilka rad praktycznych, ogłosił „program dla siebie“ i napisał kilka artykułów statystyczno - ekonomicznych, którym odmówiono wartości naukowej i uznano za wylew bezwiednego humoru. Za-

znaczyłem, że Prus w szkole odznaczał się większem od innych rozwinięciem umysłowem, kpinkowaniem i humorem w zakresie pojęć i wiedzy gimnazisty. Możnaby to powiedzieć o największym pisarzu bez ubliżenia mu, ale nie o takim kilkonastoletnim olbrzymie, jakim był p. Głowacki. To też odpiera on moje twierdzenie jako potwarz, oświadcza, że nie drwił ani z kolegów, ani z nauczycieli (jeżeli to robiłeś czytelniku, a kto z nas nie robił, zapewne nie poczytujesz sobie za zbrodnię młodości), upewnia, że nie „rozumiałem“ ani tej „jednostki,“ ani „całej generacyi,“ z którą kolegowałem, gdyż „chłopcy ówcześni były to *lwie* szczenięta, dzieci *rasy* (?) wojennej (?) i barbarzyńskiej (?).“ To nie żart! Bo jakkolwiek „uczyli się lekcyi niezbyt chętnie,“ a „równie często siedzieli w kozie lub klęczeli na środku klasy, jak zajmowali się książką,“ ale czytywali: „ekonomię, statystykę, psychologię, historyę filozofii Szweglera, mechanikę i rachunek różniczkowy, filozofię historyi Vico, dzieła Śniadeckiego; *znano* też Renana i *coś słyszano* o Darwinie; rozprawiano o Bogu, duszy, cnocie i przestrzeni, o nadużyciach szlachty, nędzy chłopów, położeniu żydów itd.“ Bagatela! Ani przeczuwałem, że śród moich towarzyszów jest tylu Bucklów i Dühringów, a nawet w wielu wypadkach domyśleć się tego nie mogłem, bo któżby przypuścił, że między r. 1856 a 1866 gimnaziści już u nas „znali“ Renana i coś „słyszeli“ o Darwinie, kiedy, o ile mnie dziś wiadomo, nie dzieci, ale ludzi dorosłych w Królestwie po raz pierwszy z Darwinem zapoznał Br. Rajchman w r. 1869. Śród tych „lwich szczeniąt“ p. Gł. wyróżniał się tylko jako „fanatyk matematyki i nauk przyrodniczych,“ który studyował statystykę, ekonomię, logikę, psychologię „i tak dalej.“ Rzeczywiście o tem wszystkiem nic a nic nie wiedziałem, a z późniejszych matematyczno-ekonomiczno-statystyczno - logicznych jego popisów odgadnąć tego nie mogłem. W literaturze bowiem jest on dobrze znany jako powieściopisarz i fejletonista, w naukowej jako badacz nieznany wcale. Ile razy napisał powieść, prawie zawsze go chwalono, ile razy napisał artykuł statystyczno-ekonomiczny, prawie zawsze dowodzono mu, że nie zna przedmiotu i nie umie obchodzić się z cyframi. „Przez kilka lat — jak zaręcza — *probował* stosować matematykę do logiki“ „a wprawiał się w sztukę pisania, *tworząc* wykład logiki popularnej,“ ale ponieważ tych dzieł nikt nie widział, więc nikt ich należycie nie uczcił.

„Gdyby p. Ś. był pozytywistą — powiada p. G. — w takim razie odkrywszy np. we mnie „humor,“ „powinienby naprzód objaśnić, co to jest humor.“ Istotnie tego nie zrobiłem, a p. G. jest zbyt pobłażliwy, bo nie policzył mi tego, że nie objaśniłem również, co to jest: talent, artyzm, powieść, kontroler, lokomotywa itd., chociaż tych wyrazów użyłem. Na szczęście wyręczył mnie mój mistrz, który wszystko wie i wszystko rozumie. Wprawdzie gdy czytałem głęboki jego wywód, zdawało mi się, że ktoś dmucha w słownik, z którego wylatują i przypadkowo układają się wyrazy, ale taka to już moja dola wobec generacyi „lwich szczeniąt“ — nigdy ich nie pojmuję. Mogę przeto tylko powtórzyć, że — według p. G. — „dowcip najgłębszy jest taką kombinacyą pojęć, w której za pozorną niedorzecznością kryje się trafne spostrzeżenie,“ „humorysta zaś w wielkim stylu znajduje się na linii środkowej, równo oddalonej od realizmu i pesymizmu, jak i od idealizmu i pesymizmu.“ Zróbcie sobie z temi „definicyami,“ co wam się podoba, w potrzebie możecie je nawet zastosować do prawd naukowych; ja tylko jeszcze dla dopełnienia ich dodam, że p. Gł. według p. Gł. „z mnóstwa zalet cechujących humorystę posiada *niewątpliwie*... metodę badania rzeczy z kilku stron.“ Do tej „metody,“ za pomocą której w moich o nim uwagach wykrył tylko „obelgi, insynuacye, fałsze i oszczerstwa,“ doprowadziło go: „Naprzód *porządne* ukształcenie realne,“ „wielostronna obserwacya“ i „*niespodziane* definicye, które na całym świecie mogą *pobudzać do śmiechu*“ (definicye p. Gł. często nawet wbrew jego woli osiągały ten skutek). „Powtóre — naszą bieżącą i powieściową literaturę *od dawien dawna* produkowali: poeci, historycy, muzycy, filologowie itd. Gdy więc w tem gronie znalazł się człowiek z ukształceniem *zupełnie innego rodzaju*, z konieczności musiał wypowiedzieć *wiele niesłyszanych* dotąd poglądów.“ Naturalnie tym człowiekiem, który wniósł do literatury naszej nieznane przed nim myśli, tym siewcą „niesłyszanych poglądów“ był p. A. Głowacki. Trzecią siłą, która go dźwignęła na to mesyaniczne stanowisko, były „nauki przyrodnicze, a nadewszystko logika.“ Zapewne jesteś ciekaw czytelniku, gdzie nasz reformator zdobywał swoje „porządne wykształcenie,“ swoje „ukształcenie innego rodzaju,“ wreszcie „nauki przyrodnicze, a nadewszystko logikę?“ Nic umiem objaśnić. Skończył gimnazyum, gdzie nie miał osobnych nauczycieli; do Szkoły Głównej uczęszczał bardzo krótko, ale takie studya lekceważy, gdyż moją wiedzę, chociaż ukończyłem dwa uniwersytety, uznał z żalem za „nieuporządkowaną“; nie słyszałem, ażeby pracował w laboratoryach przyrodniczych, książek wyłącznie dla niego nie pisano... Więc prawdopodobnie coś czytał, tylko że my kpi nie umielismy z kwiatów myśli ludzkiej wyciągnąć miodu mądrości, a on go wyssał. I znowu może spytacie, gdzie są owoce tych rozległych i głębokich badań naukowych p. Głowackiego? Szanowny uczony usprawiedliwia się: „Nie ja winienem temu, że rodacy moi niechętnie myślą np. o astronomii bez... gorsetu, a socyologię daleko łatwiej wolą studyować od strony podwiązek, aniżeli od głowy.“ Winą tedy było, „rodaków,“ którzy jednak od kogo innego umieją uczyć się astronomii bez gorsetu i socyologii bez podwiązek, że p. Gł. został znakomitym humorystą, zamiast znakomitym uczonym, tak jak Żółkowski „pod naciskiem ogólnego usposobienia został genialnym komikiem“ i... nie znając autobijografii Prusa, napisał o swoich występach dziennik trochę skromniejszy.

Chociaż może już zmęczyliście się zadzieraniem głowy w górę dla sięgnięcia wzrokiem do wysokości tego olbrzyma, wobec którego mam zaszczyt być karłem, musicie ją podnieść jeszcze wyżej. Nie było bowiem ani jednej ważnej sprawy publicznej, której by „Kroniki“ p. Gł. „nie roztrząsały, nie popierały, a nawet nie przygotowały do niej gruntu. Niech odpowiedzą na to — woła ojciec wielu instytucyj — inicyatorowie bezpłatnych kuchni, domów noclegowych, przytułków położniczych, towarzystw gimnastycznych, Lutni, Towarzystwa popierania przemysłu, pracowni naukowych, wystaw, szkół rzemieślniczych, pracy kobiet itd.“ Jak Napoleon I — sam sobie włożył koronę! Świadkowie tej koronacyi domyśleć się powinni, że podczas gdy p. Gł. „roztrząsał, popierał i przygotowywał grunt“ społeczny dla rozmaitych instytucyj, *nous autres* redaktorowie, fejletoniści i literaci albo przypatrywaliśmy się biernie tej pracy obywatelskiej, albo nie podejmowaliśmy jej gorliwie, albo też — jak ja — prowadziliśmy „robotę rozkładową,“ głosili „*zasadę* powszechnej walki o byt,“ „poniżali i zniesławiali.“ Inaczej, gdyby coś było dobrego do zapisania na moje conto, humorysta, który głównie tem się odznacza, że „ogląda rzeczy z kilku stron,“ byłby o tem wspomniał. Ja zaś przemilczałem o tych doniosłych jego zasługach naprzód dlatego, że przez dziwne zaślepienie nie dostrzegłem, iż jemu zawdzięczamy wyłącznie lub głównie roztrząsanie i popieranie przedsięwzięć społecznych, uważając ten trud za wspólną pracę całego dziennikarstwa, a powtóre dlatego, że pobudki karygodne zadanie rozbioru tylko literacko-artystycznej działalności Prusa. Zwymyślany „przyzwoicie“ za to oszczerstwo, mam jednak tę pociechę w moim wstydzie, że może kiedyś inny humorysta, obejrzawszy mnie „z kilku stron,“ wypłaci mi należność za „uprawę gruntu“ w winnicy spraw społecznych, bodaj za rzucenie pierwszej myśli i uczestnictwo w ułożeniu ustawy Kasy Mianowskiego, należności, do której żadnej nigdy nie rościłem pretensyi. Jest to sława znaleziona.

A teraz, moi czytelnicy, ponieważ wyżej oczu podnieść nie możecie, wraz ze mną na kolana! P. Gł. bowiem, niestrudzony całą tą masą dzieł wielkich, „zapomocą indukcyi i dedukcyi“ odkrył „naturalne prawo rozwoju społeczeństwa,“ na którem oparł swój „program“ z „trzema gwiazdami: szczęściem, użytecznością i doskonałością.“ Jakkolwiek trzy te gwiazdy ogarniały „cały świat żyjący,“ jakkolwiek ów uiluminowany niemi „program“ był „uporządkowaniem, wytłomaczeniem i zapowiadaniem faktów, które sprawdzają się ciągle,“ p. Gł. „napisał go *dla siebie*; ażeby sobie samemu wytknąć kierunek pracy literackiej.“ Ta skromność przeznaczenia programu była zapewne powodem, dlaczego zapomniał o nim i „cały świat żyjący,“ i „ludzkość ucywilizowana,“ i „społeczeństwo“ i — ja. Wydał on mi się powszednią, frazeologiczną mgłą, w której trójgwiazdową konstelacyę można było zastąpić każdą inną (np. wiedzą, swobodą, równością itp.). A jednakże musiał on być czemś genialnem, kiedy twórca jeszcze raz ryje go na pomniku swej chwały i czemś daleko wychodzącem po za granice mojej pojętności, kiedy mnie pyta z dumą: „a może p. Ś. chce wiedzieć: co to znaczy program społeczny?“ Teraz wiem i zaraz przed panem profesorem egzamin złożę.

(D. c. n.).

A. Ś.

KRONIKA.

Nowe przedsiębiorstwo.

Kuryer Warszawski donosi o spółce kapitalistów, która zawiązała się w Warszawie i zamierza budować domki parterowe murowane w różnych dzielnicach miasta, w cenie od 6—8000 rs. Każdy domek ma się składać z kilku pokojów, kuchni, spiżarni, piwnicy, pralni, łazienki, mieszkania dla stróża i składu na drzewo i węgle, zajmie przestrzeń $^1/_4$ morgi, w taki sposób, że można będzie urządzić ogródek i dziedziniec. Podobno członkowie spółki nawiązali już z magistratem rokowania o nabycie gruntów miejskich około rogatek jerozolimskich, a ich agenci poszukują niedrogich placów w innych dzielnicach miasta. Domki te można będzie nabywać na własność, umarzając ich wartość za pomocą komornego. Spółka zamierza nadto przeprowadzić doniośleszą operacyę, chce budować jeszcze mniejsze domki przystępne w nabyciu dla klasy robotniczej, lecz napotyka obecnie na przeszkodę w przepisach policyjno-budowlanych, które wymagają, żeby front domu z zajazdem zajmował 37 łokci przestrzeni. Spółka rozporządza sporym kapitałem i działalność rozpocznie ua wiosnę roku przyszłego.

Jeśli się okaże, iż przedsiębiorstwo to, niebywałe w naszych stosunkach ekonomicznych, nie jest złudzeniem reportera, lecz faktem, wypadnie go z czasem oświetlić doświadczeniem zagranicy (Mulhouse'y, Peebodych itp.).

Powodzie i burze w Europie środkowej.

Znowu telegramy rozniosły wieść o klęskach żywiołowych: trzęsieniach ziemi, burzach i powodziach, które dotknęły Europę środkową. Nie-

dawno miasta i wsie czeskie mokły w wodzie wezbranych rzek, a dziś ten los znowu je spotyka. Liczne wsie i miasteczka zalane, Karolowe-Wary (Karlsbad) stoją pod wodą, która dosięgła 3 metrów, rozbijała żelazne drzwi, porywała towary ze sklepów. Koleje zagrożone są bezruchem. Również i południowe z północnemi Niemcy ucierpiały od rozkiełznanych sił przyrody. Nad Frankfurtem nadmeńskim, Wiedniem, portami morza niemieckiego przeleciały orkany. Te ostatnie, jak też kopalnie w Bruchs (gdzie wielu górników poniosło śmierć) ucierpiały od wylewów. Liczne koleje, skutkiem uszkodzonych nasypów, zawiesiły ruch. Nad Londynem szaleje orkan. Na wybrzeżach angielskich wiele okrętów uległo rozbiciu. Fabryki i kopalnie zalane.

Wielka Encyklopedya.

Szybkim krokiem postępuje wydawnictwo „Wielkiej encyklopedyi ilustrowanej,“ której ukończono już tom II. W tak olbrzymiej księdze, śród tylu artykułów, drobne usterki są nieuniknione. Nie wskazujemy ich tu wzorem *Biblioteki warsz.*, która postawiła wymagania nieco przesadne i niezawsze uzasadnione. Daleko więcej bowiem widzimy zalet, sumiennej pracy i widocznych starań. Część literacka opracowana po większej części gruntownie, strona ilustracyjna udoskonala się.

Kalendarze.

Te słomki przednoworoczne rozpoczęły już swój „ciąg“ długim łańcuchem. Promyk wydał swego zwykłego „Gościa“ dla ludu, zaopatrzywszy go głównie wiadomościami przyrodniczemi.

Nowym przybyszem jest starannie opracowany i gustownie przybrany „Kalendarz polski.“ Jak jego poprzednicy, kosztuje on tylko 50 kop., ale pod względem druku, papieru, wizerunków i wogóle zewnętrznych przewyższa wszystkie dotychczasowe. Pobieżny przegląd nie pozwolił nam sprawdzić dokładności jego informacyj, ale też nie wykazał nam błędów. A informacyj tych jest bardzo wiele.

Skromnie, prawie ubogo wobec tego strojnisia wygląda „Rocznik płocki,“ ale ma on swoje znaczenie jako objaw myśli i życia prowincyi, zwłaszcza tej, która, jak płocka, nie posiada własnego organu w prasie. Wydawnictwo to zajmuje się wyłącznie sprawami miejscowemi.

Sprawy społeczne. Urzędnicy i oficyaliści technicznych biur wodociągów i kanalizacyi w Warszawie postanowili założyć kasę pożyczkowo-wkładową.

— Pracownicy kolei Terespolskiej uzyskali pozwolenie na organizacyę stowarzyszenia spożywczego.

— Warszawskie Towarzystwo ogrodnicze wyznaczyło w r. b. dwie nagrody po rs, 100 i 75 dla ogrodników za długoletnią uczciwą służbę w jednem miejscu. Kandydaci powinni nadesłać świadectwa osób, u których pracują, poświadczone przez dwóch sąsiadów (przed upływem grudnia r. b.) do kancelaryi Tow. ogrodniczego.

— Z zapisu Janusza Rostworowskiego wydane będzie 28-go stycznia r. p. 80 wsparć po rs. 30. Podania na imię p. Prezydenta przyjmowane będą do 22 grudnia r. b.

— Z powodu wychodźctwa *Now. Wrem.* pyta, czy nie należałoby na miejscach opuszczonych przez polaków osiedlać rosyan z Cesarstwa. „Obawiamy się — mówi gazeta — dawać odpowiedź twierdzącą. Przy istniejącym w kraju porządku kolonie te z pewnością musiałyby upaść, a to mogłoby być przyjęte za dowód, że rosyanin nie jest zdolny osiedlać się w miejscowościach cywilizowanych. Do liczby przeszkód, sądzimy, należą: 1) komisarze, którzy będąc podwładnymi gubernatorów, są pozbawieni możności samodzielnej rewizyi zarządów gminnych i szkół ludowych; 2) polski sąd gminny i polska adwokatura 3) wyłącznie polskie zabarwienie bytu ekonomicznego i osobistego składu kancelaryi. Dlatego trzeba naprzód oczyścić i przygotować grunt, a dopiero potem mówić o osadzeniu.“

Szkoły. Uniwersytet syberyjski liczy ogółem 270 studentów, w tej liczbie nowoprzyjętych 100. Wielu z nich cierpi nędzę.

— Ministeryum oświaty wyjaśniło, iż kończący 4 klasy gimnazyum lub progimnazyum, jeżeli pragną wstąpić do służby wojskowej w charakterze ochotników 2-go rzędu (od których wymagane jest ukończenie przynajmniej 6-ciu klas), powinni złożyć dodatkowy egzamin z przedmiotów objętych specyalnym programem dla osób nie uczęszczających do zakładów naukowych. Dodatkowe egzaminy odbywać się będą w terminach, ustanowionych dla ochotników 2-go rzędu.

— Minister skarbu zezwolił na wydawanie biletów kolejowych po zniżonej cenie wychowańcom zakładów duchownych i innych naukowych.

— Departament lekarski zawiadomił, właścicieli aptek, że uczniom, którzy praktykę aptekarską przerwali na czas dłuższy niż jeden rok, poprzednia praktyka nie będzie policzona po rozpoczęciu nowej.

Wystawy. Komitet Muzeum przypomina wystawcom, iż w połowie lutego odbędzie się wystawa nasion, zbóż traw, roślin gospodarczych, nawozów itd.

— Na wystawę w Petersburgu pracy kobiet wiele pracownic z Warszawy wysłało swoje roboty.

— W Warszawie przy Muzeum przemysłowem utworzono komisyę do pośredniczenia w wystawie środkowo-azyatyckiej w Moskwie.

Przemysł. Do Rady państwa wniesiono projekt udzielania wytwórcom mąki przystępnego kredytu w Banku państwa i utworzenia na rynkach mącznych agentur, mających pozostawać pod kontrolą dóbr państwa.

— W tych dniach minister dóbr państwa wniósł do komitetu ministrów przedstawienie, ażeby kopalnie i zakłady górnicze rządowe w zachodnim okręgu górniczym Królestwa Polskiego sprzedać osobom prywatnym.

Wypadki. W Tyflisie 9 listopada było trzęsienie ziemi, trwające minutę.

Bibliografia. L. Kondratowicz, *Wybór poezyj*, tom III-ci, wydanie na rzecz wdowy i sierot autora.

— M. Bersohn, *Studenci polacy na uniwersytecie bolońskim w XVI i XVII w.*, str. 23. Jest to zbiór krótkich objaśnień do tytułów, herbów i nazwisk polskich, wypisanych i narysowanych na ścianach klatki schodowej uniwersytetu bolońskiego.

— M. Zielińska, *Szesnastoletni wojewoda*, powieść dla młodzieży str. 320, Warszawa, Orgelbrand.

— H. Merczyng, *Zasady teoryi matematycznej telefonowania z odległości*, str. 16, Warszawa.

Zmarli. Antoni Waga w Warszawie. Najstarszy z przyrodników naszych. Ur. w r. 1799 we wsi Grabowie g. piotrkowskiej. Z Wojciechem Jastrzębowskim odbywał pieszo wycieczki po kraju, w r. zaś 1864 udał się z Ksawerym Branickim do Afryki, skąd przywiózł cenne zbiory. Wybitniejsze prace jego: Atlas do nauki historyi naturalnej,“ „O nowym szczególnym gatunku pszczołowatego owadu,“ „Historya naturalna,“ „Książka dla dobrego chłopca,“ „Historya naturalna i opisanie znaczniejszych zwierząt, menażeryę von Dintera z Amsterdamu składających,“ „Podróż z Berlina do Lipska,“ „Rozprawa o naukach przyrodzonych,“ „Rozprawa o ptakach,“ „Teorya gospodarstwa wewnętrznego, czyli zbiór wiadomosci potrzebnych gospodarzom dla użytku instytutów żeńskich,“ „O turach i żubrach“ i wiele innych.

— John Cox, historyk angielski w Londynie.

— Otto Fröhlicker, w Monachium; malarz szwajcarski.

— Juliusz Witt, w Królewcu; kompozytor niemiecki.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

Pani S. S w. Łodzi. W języku polskim nie posiadamy *Historyi sztuki.* Co pod tym lub innym (np. *Listy* Kremera) posiadamy, ma wartość albo bardzo małą, albo tylko historyczną.

Maryi Reginie. Rodów talentu nie znaleźliśmy. Wróżyć z tej próbki małej, napisanej pobieżnie — nie możemy.

L. M i *R. B.* Odcinek mamy tak zapełniony na długo, że obecnie nic nowego do tej rubryki nie przyjmujemy.

Urzędnikowi D. Ż. W. W. Bezimiennych zażaleń nie uwzględniamy.

Matce. Redakcya może wiele rad udzielić, ale lekarstwa na otyłość — w żaden sposób. W takiej sprawie potrzebny jest lekarz.

Panu Stef. B. Owszem, druku warta, ale jej pomieścić nie możemy.

Panu K. N, w Karlsr. Z nadesłanego artykułu nie możemy wywnioskować, o co Panu chodzi.

O G Ł O S Z E N I A.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 16 Ноября 1890 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.